

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 3 (21)

Jerozolima, 1 lutego 1944 r.

Rok II

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

KRYZYS PACYFIKU

I

Zasadniczym dążeniem wszystkich kierowników obozu Narodów Zjednoczonych, mających poczucie odpowiedzialności za przebieg wojny, jest uzgodnienie porządku zwycięstw i racjonalne użycie sił, by i wojnę jak najszybciej zakończyć i stworzyć pewne podstawy pokoju. Stąd też płynnie ciągle ustalanie na konferencjach kolejności działań. Uzasadnienie, — dlaczego naprzód Europa a potem Pacyfik. Interesy poszczególnych państw, znajdujących się w obozie Narodów Zjednoczonych, nie są te same. Mimo że wszystkie z wyjątkiem Rosji wypowiedziały wojnę głównym przeciwnikom zarówno w Europie, jak i na Dalekim Wschodzie, to jedynie Wielka Brytania i Stany Zjednoczone są zaangażowane poważnie na obu frontach.

Ważność Europy dla Wielkiej Brytanii jest oczywista, zwłaszcza że przewleknięcie wojny coraz bardziej przestaje być i potrzebne, i możliwe. W dzisiejszym momencie inwazja staje się coraz bardziej aktualna i każda chwila przyspiesza ją, a bieg wypadków uwypukla konieczność rozpoczęcia działań na lądzie stałym. Z drugiej strony także i na Dalekim Wschodzie W. Brytania ma żywotne interesy i w prowadzeniu wojny, i w zwycięstwie. Stany Zjednoczone mają inną kolejność ważności frontów. Pacyfik zajmuje miejsce pierwsze. W Europie interes ich w zwycięstwie można określić jako szansę uzyskania całkowitego poparcia wszystkich sił brytyjskich, floty i lotnictwa na Dalekim Wschodzie.

Ta pozorna sprzeczność wiąże oba ogniska wojny w jednolitą całość. Dlatego by zwolnić wszystkie siły na Daleki Wschód, Stany Zjednoczone energicznie popierają swoich aliantów w Europie. Nie są to jednak jedyny elementy, łączące te tak odległe tereny. Drugą kategorią czynników, wpływających na powiązanie walk na obu frontach, jest wszystko to, co łączy interesy światowe ze sprawą Chin.

Czasy nowożytnie zaczęły się dla narodów Pacyfiku stosunkowo niedawno. Wojna dzisiejsza, przy znanym rewolucyjnym charakterze wielkich wojen nowoczesnych, to wielkie ognisko, w którym przetapia się dusza właściwego reprezentanta kultury i historii Azji — Chin. Świadomość narodu chińska, budzona od początku XX stulecia biegiem ekspansji mocarstw zachodnich i Japonii oraz wysiłkiem najlepszych Chińczyków, ożywia dzisiaj już tak duże masy chińskie, że można mówić o narodzie chińskim jako o świadomym czynniku w układzie stosunków nad brzegami oceanu Spokojnego. Powstaje partner i sprzymierzeniec wielkich mocarstw demokratycznych w urządzaniu pokoju światowego także i w tym rejonie. Kończy się faktyczna izolacja Dalekiego Wschodu wskutek przewagi Japonii i braku jakiegokolwiek innego czynnika, któryby można było jej przeciwstawić.

Wojna i klęska Japonii zniszcza na Dalekim Wschodzie zasadę sfery wpływów, realizowaną w Europie przez Hitlera, a w Azji przez Japonię. Po raz pierwszy od wieków powstanie szansa dla wprowadzenia tam stosunków, które będą przypominały układ stosunków, panujących gdzieś indziej. Jedynie Japonia, która kolejno eliminowała swoich konkurentów na Pacyfiku, była dla tego przeszkodą. Wojna chińsko-japońska (1894), wojna z Rosją, wojna światowa, w której objęła ona spadek po Niemczech, i wreszcie wojna dzisiejsza, w której próbuje zlikwidować swoich sprzymierzeńców z wojny światowej, były prowadzone wyłącznie w tym celu. To stanowi istotę programu partii wojskowej, będącej u władzy od września 1931 r. Ująć go można w sposób następujący:

Wyspiarskie położenie Japonii z jej 70 milionami mieszkańców zmusza ją do opanowania i zabezpieczenia źródeł surowców Dalekiego Wschodu, przetwarzania ich w fabrykach japońskich i sprzedawania gotowych towarów na monopolistycznych rynkach. Japonia musi przewodzić Azji. Dlatego w ślad za preponderancją ekonomiczną musi iść przewaga kulturalna. Azja musi przyjąć kulturę i towar Japonii.

Czy walka z W. Brytanią i Stanami Zjednoczonymi to ostatnie stadium wojskowego planu operacji na tym terenie? Zależy się, że nie. Ostatnim stadium w planach Japonii, jeżeli mają być one całkowicie wykonane, jest zniszczenie potencjalnych konkurentów w Azji,

a więc opanowanie Chin, a może także i zniszczenie Rosji.

W tej chwili problem Dalekiego Wschodu — to stosunek Japonii do świata. Przyszłość w razie wygranej wojny — to Chiny i ich związki z resztą obozu Narodów Zjednoczonych. Te dwa czynniki — teraźniejszość i przyszłość — interesują nas w równej mierze. Wiąże one kryzys Pacyfiku z kryzysem światowym i przyszłość narodów Dalekiego Wschodu z przyszłością świata.

II

Przyczyny, dla których stare państwo, ale młode mocarstwo „Wschodzącego Słońca” znalazło się w obozie państw osi, są starsze, niż się przypuszcza. W roku 1914 bowiem, gdy walczyły się szale, czy Japonia ma wypowiedzieć wojnę Niemcom, istniały w kraju odrodzonego cesarstwa bardzo poważne siły, opowiadające się po ich stronie. Armia lądowa, pozostająca pod urokiem siły militarnej Niemiec, żądała ich poparcia. Flota i jej kierownicy żądali utrzymania aliansu z W. Brytanią. Zadecydowało to, że cesarz stanął po stronie floty.

W wojnie Japonia strzegła pilnie swoich interesów. Współdziałała ze sprzymierzonymi na oceanie Spokojnym, niechętnie posyłała

swoją flotę gdzie indziej. Za przeznaczenie pewnej ilości okrętów wojennych na morze Śródziemne, gdy się to okazało konieczne dla działań, Japonia zagwarantowała sobie, że posiadłości niemieckie na północ od równika jej przypadną.

Niemniej jednak, już w toku wojny Japonia gotowała się na wszelką ewentualność. Gdy rzeczy przybrały zły obrót dla aliantów i z początkiem 1916 r. wyglądało, że wojna może wypaść dla nich niekorzystnie, przygotowywała rewolucję w Indiach.

Szczęśliwy bieg wypadków i zwycięstwo spowodowały, że ostatecznie na Konferencji Pokojowej w Wersalu Japonia występowała w charakterze alianta mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych.

Na konferencji tej nie zrealizowała wszystkich swoich planów, a gdy Stany Zjednoczone nie znalazły się ostatecznie w Lidze Narodów, sytuacja na Pacyfiku uległa tak zasadniczej zmianie, że powstała konieczność stworzenia nowego systemu w tym rejonie. Zmianę tę można scharakteryzować w sposób następujący: pokój nie został uniwersalnie zabezpieczony i nie otrzymał światowej gwarancji. Na Pacyfiku, gdzie sojusz japońsko-angielski pozostał w mocy, układ sił, który brał pod uwagę możliwą ingerencję Rosji w sprawę

OD REDAKCJI

Z chwilą gdy numer obecny oddajemy na maszynę, konflikt, wywołany wkroczeniem na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej wojsk sowieckich, których rząd nie utrzymuje z Polską stosunków dyplomatycznych, oraz zaktualizowanymi wskutek tego wkroczenia roszczeniami terytorialnymi ZSRR — nie został jeszcze załatwiony.

Nie mamy potrzeby opisywania tutaj etapów tego konfliktu. Są one zbyt świeże i przeżywalimy je wszyscy zbyt silnie, aby trzeba było je tu raz jeszcze przypominać. Rząd Polski, kierując się w postępowaniu swym względami na przywrócenie jedności w obozie Sprzymierzonych oraz poczuciem odpowiedzialności za losy ludności na terenach, zajmowanych przez Armię Czerwoną, okazał w konflikcie tym maximum możliwej uległości i dobrej woli. Wiadomo, z jaką spotkał się odpowiedź.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że konflikt, który obecnie wybuchł, jest nie tylko konfliktem granicznym (a pisząc tak, dalecy jesteśmy od niedoceniania tego konfliktu). Idzie o samo istnienie niepodległego Państwa Polskiego. Idzie wreszcie o samo istnienie tych zasad prawnych i etycznych, na których podstawie mają się oprzeć stosunki międzynarodowe w przyszłym, powojennym świecie. Konflikt polsko-sowiecki daleki jest bowiem od tego, aby być tylko konfliktem lokalnym. Stał się on głębokim konfliktem moralnym, dotyczącym wszystkich narodów sprzymierzonych. Zagroza on tym zasadom układu stosunków międzynarodowych, które znalazły swoje sformułowanie w Kartie Atlantycznej i które ujęte zostały w Cztery Wolności Prezydenta Roosevelta. Rozwiązanie sporu polsko-sowieckiego, któreby podeptało zasady prawa i sprawiedliwości, byłoby nieśczęściem, dotykającym nie tylko nas. Byłoby przegrana dla całego powojennego świata. Podobnie bowiem, jak nie można zlokalizować pokoju, nie można zlokalizować zaufania w stosunkach międzynarodowych.

Postępowanie sowieckie w konflikcie jest konsekwentnym stosowaniem zasad, wypowiedzianych w oświadczeniu z dn. 5 stycznia b. r., które stanowi klucz dla zrozumienia stanowiska ZSRR. W odpowiedzi na artykuł Willkiego („New York Times” z dn. 31 grudnia ub. r.) w sprawie Polski i państw bałtyckich Rosjanie na łamach „Prawdy” oświadczyli, iż jeżeli idzie o sprawy polskie, to wiedzą oni już sami, jak je mają załatwić, i sami je załatwią. Sami — to znaczy bez współudziału nie tylko in-

nych mocarstw sprzymierzonych, ale także i jedynego uprawnionego rzecznika interesów Narodu Polskiego, jakim jest Rząd Polski. Z ducha tego oświadczenia wynika zarówno znana odpowiedź sowiecka z dn. 17 stycznia b. r. na pojednawcze oświadczenie Rządu Polskiego, jak i odpowiedź na propozycję Cordell Hulla, ofiarującą pośrednictwo Stanów Zjednoczonych w konflikcie.

Nie ma wśród nas nikogo tak szalonego, aby nie chciał przywrócenia dobrych sąsiedzkich stosunków między Polską a ZSRR. Chcemy u siebie urządzić życie inaczej niż Rosjanie, wychowaliśmy się na innych niż Rosjanie tradycjach, uważamy jednak, że tak samo jak razem z nimi znaleźliśmy się w jednym obozie walki z wspólnym wrogiem, tak samo możemy wspólnie z nimi pracować nad ugruntowaniem pokoju w wielkiej rodzinie narodów europejskich. Na to jednak, aby stosunki między nami a ZSRR były naprawdę dobre, nie wolno, aby między nami a nimi wykopała przepaść krzywdy. Nie widzimy żadnych powodów, dla których stosunki takie nie mogłyby się ułożyć. Jako oczywisty nonsens odrzucamy wszelką insynuację, jakobyśmy mogli stanowić zagrożenie bezpieczeństwa ZSRR. Nie stanowiliśmy takiego zagrożenia przed r. 1939, kiedy podobnie jak i cały świat nie docenialiśmy potęgi militarnej ZSRR. Nie posłaliśmy na awanturę przeciwrosyjską, mimo iż proponowano nam w niej współudział. Naodwrot, posłaliśmy bez wahania na bezadzielną, zgóry przegraną wojnę z Niemcami, albowiem wiedzieliśmy, że dążenia niemieckie stanowią zagrożenie integralności terytorialnej naszego państwa i suwerenności Rzeczypospolitej. Nie ulekleliśmy się gróźb niemieckich, nie cofnęliśmy się przed kampanią oszczerstw i wyzwisk. I chociaż ciężko oplatiliśmy nasze bohaterstwo, to jednak dożywamy dziś tego momentu, kiedy widzimy, jak oparte na gwałcie fizycznej siły imperium niemieckie zaczyna się walić w gruzy. Tylko bowiem bardzo płytki i krótkowzroczny „realista” polityczny wykreśla z obliczeń swych zasady słuszności i sprawiedliwości. Jakkolwiek by bowiem bezsilnie wyglądały one wobec brutalnej przemocy, tą czy inną drogą, wcześniej czy później, muszą w ostatecznym rachunku zwyciężyć.

Skłamałibyśmy, gdybyśmy powiedzieli, że patrzymy w przyszłość bez obaw. Ciężka trośka legła kamieniem na naszych sercach. Ale patrzymy w przyszłość z podniesionym czołem i tym spokojem, jaki daje nam świadomość słuszności, pełnej słuszności naszej sprawy oraz zaufanie do naszych aliantów.

W numerze:

D. Szezerbie: Opinie angielskie. — W. Bratkowski: Odbudowa gospodarcza Polski. — Kronika polska. — W. Szymański: Problemy bałkańskie. Bułgaria. — W. Weintraub: Benedetto Croce. — D. Szezerbie: Reportaż z fabryki broni. — W. Broniewski: Mogiły. — J. Lechoń: B-mol. — Z. Broncel: Od brygady do armii. O polski teatr dla żołnierza. — H. Gotlib: Z wędrówek malarza po Grecji. — T. Parnicki: Chrobry i posłowie cesarscy. — Z. Broncel: Kompleks tęsknoty. — Kongres historyków. — ph.: Nowy miesięcznik francuski. — Z prasy obcej. — ww.: Przegląd polityczny.

Dalekiego Wschodu, automatycznie skierował się przeciw nowemu pretendentowi do wpływów w tym rejonie, to jest przeciw Stanom Zjednoczonym. Zawijająca się przyjaźń między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią mogła być narażona na szwank, zwłaszcza że zadrażnienia między Japonią a Stanami wzrastały.

Nie więc dziwnego, że Stany Zjednoczone, które schowały się za swój tradycyjny izolacjonizm, jeżeli idzie o Europę, poszły po linii aktywnej polityki i dążyły do rozwiązania, któreby ustabilizowało pokój i zagwarantowało bezpieczeństwo na Pacyfiku. W tej akcji zostały one poparte przez niektóre Dominia Brytyjskie.

Jeszcze przed wojną światową Kanada, Australia i Nowa Zelandia prowadziły własną politykę imigracyjną, zbliżoną w swych zasadach do polityki Stanów Zjednoczonych wobec Japończyków. Po wojnie światowej te trzy Dominia bardzo wcześnie potrafiły zaznaczyć swoje desinteressement w sprawach europejskich i solidarność ze Stanami Zjednoczonymi w rejonie Pacyfiku. Uznały ich stanowisko, że postanowienia Aliansu z r. 1903, przewidującego, że na wypadek zaatakowania Wielkiej Brytanii lub Japonii przez trzecie mocarstwo, każda ze stron pópieszy z pomocą drugiej, w sytuacji po wojnie światowej mogą oznaczać tylko akcję przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Na konferencji imperialnej w r. 1921 postanowiono wskutek tych zastrzeżeń zastąpić system przymierza między W. Brytanią a Japonią oparcie stosunków w basenie Pacyfiku na innej podstawie. Towarzyzyli temu wszystkim niepokojące z punktu widzenia pokoju światowego fakty, gwałtowna rozbudowa floty Stanów Zjednoczonych oraz program flotowy W. Brytanii i Japonii, które mimo wielkich wysiłków wojenych i trudności finansowych postanowiły dotrzymać Stanom kroku. W rezultacie zwołano konferencję waszyngtońską wszystkich państw zainteresowanych w sprawach chińskich i bezpieczeństwa na Pacyfiku, której rezultatem było podpisanie przez szereg państw pewnej ilości traktatów w lutym 1922 r.

Wyniki konferencji można ująć następująco:

1) Równość bezpieczeństwa dla trzech głównych mocarstw morskich, zainteresowanych w tym rejonie, osiągniętą w ten sposób, że ustalono stosunek dla okrętów kapitalnych tych państw na 5:5:3. Następnie postanowiono, że żadna z wysp, leżących między głównymi bazami morskimi owych trzech mocarstw, t. j. wyspami Hawajskimi (USA), Hong Kongiem (W.B.) i Yokosuką (Japonia), nie będą fortyfikowane. Oznaczało to, że w praktyce niemożliwością było z tych baz zagrożenie przy pomocy floty krajom stron zainteresowanych.

Postanowienia te oznaczały przyjęcie status quo sił flotowych przez najgłówniejszych kontrahentów za podstawę układu na przyszłość. Wobec tego, że W. Brytania i Stany Zjednoczone miały zobowiązania i interesy poza Dalekim Wschodem, wszystkie trzy państwa posiadały praktyczną równowagę sił w basenie Pacyfiku. Podkreślić należy, że Japonia oprócz floty posiadała największą armię lądową, łatwą do użycia na terenie najważniejszym z punktu widzenia układów waszyngtońskich. Idzie tu mianowicie o Chiny, gdzie współzawodnictwo gospodarcze rodziło już konflikt polityczny.

2) Drugą zasadą, mającą znaczenie dla trwałości osiągniętego porozumienia, było ustalenie normy tak zw. „otwartych drzwi” w Chinach. Chiny rozumiano wówczas łącznie z Mandżurią, a zasada „otwartych drzwi”, znajdowała się w Traktacie Przymierza z r. 1902 i słynnych amerykańskich traktatach Hay’a.

3) Ustalono zasadę, że sprawy Pacyfiku, szczególnie sprawy chińskie, stanowią przedmiot łącznego zainteresowania wszystkich większych państw, związanych z Pacyfikiem. Oprócz trzech państw, wymienionych powyżej, należą tu Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Francja, Holandia i Portugalia.

Traktaty waszyngtońskie zostały uzupełnione traktatem londyńskim morskim z r. 1930, który rozszerzył ograniczenia zbrojei i postanowienia, ustalające stosunek flot głównych mocarstw, także i na inne klasy okrętów.

Traktaty waszyngtońskie stworzyły więc system pokoju i bezpieczeństwa na Pacyfiku. Z jednej strony podstawą tego systemu była uzgodniona polityka w stosunku do zagadnień i spraw, które mogłyby zrodzić tarcia międzynarodowe, a z drugiej strony — równowaga sił. Miała ona na celu zapobiec temu, by jedna strona mogła bez obawy odpowiedzialności porzucić istniejący stan rzeczy. Wartością tego układu było, że uznając prawa Stanów Zjednoczonych, dawał jednocześnie Japonii mocną sytuację, wynikającą z położenia jej i życiowych interesów na Dalekim Wschodzie.

Słabą stroną traktatów było, że jak każdy układ tak i one wymagały mechanizmu, któryby zapewniał ich wykonanie. Brak było organizacji, czuwającej z punktu widzenia interesów ogólnych nad przestrzeganiem i obowiązywaniem systemu, w nich stworzonego. Zgoda Japonii na utrzymanie tego systemu była, niestety, krótkotrwała. O ile w r. 1922 równorzędna sytuacja ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią była celem, do którego Japonia dążyła, to w dziesięć lat później, gdy kierownicze koła Japonii zaczęły głosić doktrynę przewagi i kierownictwa na Dalekim Wschodzie, Japonia zgodę swoją na traktaty waszyngtońskie cofnęła. Pokój, stworzony w basenie Pacyfiku, był tylko stadium w polityce japońskiej. Uregulowanie spraw Dalekiego Wschodu dla innych państw było prowadzeniem polityki pacyfistycznej.

W ten sposób powstała coraz większa rozbieżność między opinią publiczną Japonii a innych jej kontrahentów. Społeczeństwa demokratyczne coraz niechętniej ustosunkowywały się do bronięcia „praw” siłą w jakiegokolwiek sytuacji, opinia publiczna japońska natomiast coraz bardziej hołdowała koncepcji polityki siły i radykalnych posunięć. W rezultacie floty W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych przestały reprezentować te siły, która była podstawą ustalenia stosunku z r. 1922. Jednocześnie flota japońska odnawiała się i pracowała usilnie. Przewaga japońska, która istniała już faktycznie w momencie podpisania traktatów, rosła z biegiem czasu. Znaczenie jej i rozmiar wykazały wypadki mandżurskie w latach 1931—1932.

Stany Zjednoczone i Wielka Brytania mimo kategoriicznych protestów nie potrafiły zrobić skutecznego gestu, by zatrzymać samowolę japońską. Radykalna partia japońska postawiła na pacyfizm obu najpotężniejszych kontrahentów oraz na swoją lokalną przewagę wojskową i morską i pierwszą rundę wygrała bez przeszkód. Wycałszy przewagę, która od r. 1931 dała jej rzędy w Japonii, partia wojskowa poszła jeszcze dalej. Przede wszystkim, rozpoczynając bardzo wcześniej fortyfikowanie wysp, które Japonia otrzymała jako mandat Ligi Narodów w spadku po Niemcach, usiłowała zmienić stosunek sił jeszcze bardziej na swoją korzyść.

Przewaga i swoboda Japonii stały się

jeszcze jaskrawsze, gdy w r. 1932, w czasie konfliktu mandżurskiego, Stimpson, minister spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, spotkał się z odmową Wielkiej Brytanii, jeżeli idzie o wspólną akcję przeciwko Japonii w myśl układów waszyngtońskich. Rozbicie dwu największych partnerów Konferencji Waszyngtońskiej dało wolną rękę Japonii w wysuwaniu dalszych żądań.

Na Konferencji Rozbrojeniowej Japonia zażądała zrównania flot trzech głównych państw morskich. Po sprzeciwie Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii, jednostronnie wypowiedziała Traktaty Waszyngtońskie.

Dalszy bieg wypadków jest zbyt dobrze znany całemu światu. Wynikiem pacyfistycznej polityki bez gwarancji siły były Wake Island i Pearl Harbour.

III

Traktaty Waszyngtońskie nie były formalnie związane z systemem bezpieczeństwa, stworzonym przez pakt Ligi Narodów, Traktaty Locarneńskie i inne traktaty pochodne, które miały na celu wykluczenie wojny w stosunkach międzynarodowych. System ligowy nie obowiązywał Stanów Zjednoczonych, a konsekwentnie nie obowiązywał i w tych wszystkich stosunkach, w których one odgrywały rolę. Z punktu widzenia jednak całości Traktaty Waszyngtońskie stanowiły odpowiednik systemu ligowego. Bezpieczeństwo na Pacyfiku i w Europie zostało związane z biegiem czasu, z systemem traktatów o wyrzeczeniu się wojny i agresji, jak np. Pakt Briand — Kellog. Wszystkie te zobowiązania stworzyły pewien obraz prawny, obejmujący całą społeczność międzynarodową i naruszenie bezpieczeństwa w jednym wypadku nie mogło pozostać bez wpływu i gdzie indziej. Z niechęci czy z niemożności zapobieżenia samowoli Japonii w Mandżurii powstał klimat dla agresji abisyńskiej, gwałtów niemieckich i, ostatecznie, dla dzisiejszej wojny.

Główną przyczyną niepowodzeń polityki pokojowej w basenie Pacyfiku było niezrozumienie zasady integralności pokoju. Dzisiaj zdobyliśmy jeszcze jeden dowód na to, że w obecnym stanie cywilizacji nie można oddzielić spraw bezpieczeństwa Europy od tego samego problemu na brzegach Oceanu Spokojnego.

Do dziś dnia jednak społeczeństwa nie rozumieją tej prawdy i rządy demokratyczne muszą uciekać się nieraz do bardzo ryzykownych tłumaczeń, by uzmysłwić swoim narodom konieczność udziału w wojnie tam, gdzie bezpośrednie interesy nie zostały przez następnika zagrożone. Specjalnie ma to znaczenie dla polityki wewnętrznej Stanów Zjednoczonych, gdzie w umyśle każdego Amerykanina — jako prawdziwy przeciwnik występuje Japonia. Świadomości wiecznej podkreślanej obietnicy, że W. Brytania po zakończeniu dzia-

łań na teatrze europejskim całą siłą poprze Amerykanów w skruszeniu przewagi japońskiej w drugim stadium wojny, ułatwia Prezydentowi Rooseveltowi intensywnie popieranie wojny przeciwko Niemcom.

Pokoju nie można zagwarantować inaczej jak zrozumieniem, że dla jego utrzymania trzeba być gotowym do wojny, gdziekolwiek by ona wybuchła, że dla utrzymania wolności swojej trzeba walczyć o wolność każdego narodu.

Oba systemy, Liga Narodów i Traktaty Waszyngtońskie, nie wytrzymały próby życia. Oba wynikały z pragnienia większości narodów, pokojowo nastrojonych, zabezpieczenia się przed wojną. Oba wynikały też z przeświadczenia, że trzeba system aliansów i przymierzy na wypadek wojny zastąpić porozumieniem dla utrzymania pokoju. W rzeczywistości Liga Narodów — to przyjęcie zobowiązań prowadzenia wojny nawet wówczas, gdy narody sobie tego nie życzą. Niechęć jednak do tego rodzaju zobowiązań jest tak głęboka, że ta konsekwencja, iż pokoju trzeba bronić, nie jest brana pod uwagę. Stąd płynnie tendencja do izolowania konfliktów. Stąd wynikł duch Monachium. Przekonanie, że wypadki mandżurskie nie są groźne dla pokoju świata, przeniosło się do Abisynii, aż wreszcie i na teren Europy. Cała rzecz w tym, że doświadczenia dotychczasowe nie uzasadniają poglądów, iż nie należy się przeciwstawiać już pierwszym naruszeniom prawa i porządku międzynarodowego.

Dopiero gdy będzie istniało tego rodzaju nastawienie umysłów, można zastanawiać się nad drugim problemem, związanym z zachowaniem pokoju. Jak długo państwa będą dysponowały siłą wojskową, tak długo nie będzie można ich skutecznie powstrzymać od użycia tej siły wtedy, gdy ich zdaniem interes narodowy będzie tego wymagał. Można temu zapobiec tylko przez stworzenie groźby, że w tym wypadku zostanie uruchomiona realna maszyna, zmierzająca do odpowiedzi na siłę siłą. Innymi słowy, jeżeli chce się organizować pokój, należy organizować go w ten sposób, jak gdyby wieczne miała grozić wojna. Istnieje szkoła myślenia, że odpowiedź na to jest rozbrojenie. Przede wszystkim pełne rozbrojenie jest niemożliwe, a system kontroli zawsze będzie skuteczniejszy w stosunku do słabszych niż do silniejszych. Rozbrojenie będzie skuteczne tylko wówczas, gdy niezależnie od ustalonego z góry stanu zbrojeń poszczególnych państw będzie istniała siła, która może wystąpić w obronie pokoju. Przykład rozbrojenia się Niemiec, Japonia i rozwój jej floty — oto praktyczne dowody, do czego prowadzi brak tego czynnika. Staje się to tym bardziej oczywiste, gdy uzmysłowimy sobie, jak bardzo postęp techniki wojennej jest związany z wpływem cywilizacji w ogóle. Nie można dosyć silnie podkreślić, jak duże to może mieć znaczenie dla państw mniejszych. Bardzo niewiele

państw może produkować czteromotorowe bombowce, a kto wie, w jakim stopniu wzrosło znaczenie potencjału przemysłowego w niedalekiej przyszłości.

Fale Oceanu Spokojnego pochłonięły jeszcze w r. 1944 wiele okrętów i samolotów japońskich, będąc obojętnym świadkiem łapania potęgi, która egoistycznie chciała nimi zaważać. Te walki, które zakończyły się pokojem późniejszym niż w Europie, zamknęły okres, w którym Japonia była jedynym rodzimym czynnikiem siły nowoczesnej organizacji w basenie Pacyfiku. W miejsce przewagi Japonii wejdzie pewnego rodzaju nieosiągnięta dotychczas równowaga polityczna — system, w którym obok Stanów Zjednoczonych oraz Wielkiej Brytanii staną Chiny i Rosja Sowiecka. Będzie to jednak tylko równowaga sił.

Traktaty Waszyngtońskie wywróciły się dlatego, że jakkolwiek istniała równowaga, to nie było uzgodnionej polityki i nie było chęci użycia siły w ich obronie.

Państwa, powołane do obrony równowagi bezpieczeństwa i pokoju na Pacyfiku, które dysponowały środkami, dostatecznymi, by przeszkodzić Japonii w jej zamiarach, niestety, nie były związane wystarczająco ze sprawami Chin, by ryzykować życie swoich żołnierzy i okrętów.

Dzisiaj poprzez doświadczenia prawie półwieczne, przez przelaną krew i upokorzenia powstają narody Dalekiego Wschodu, a między nimi Chiny, które, wyszedłszy z feudalnych ram i stosunków, kroczą szybko naprzód, budując nowoczesne państwo i poczucie narodowe. Powstaje pełnoprawna gałąź społeczności międzynarodowej w Azji. Podejście tych państw i społeczeństw do sprawy bezpieczeństwa w tamtych rejonie to zupełnie inna sprawa niż stosunek do tych zagadnień państw z tym terenem nie związanych. Oddalone od Dalekiego Wschodu, nie są w stanie zdecydować się na ponoszenie ofiar dla utrzymania pokoju. Dla państw Pacyfiku pokój, bezpieczeństwo, to sprawy życiowe, o które warto i trzeba dbać. One też będą w stanie, pozostając w porozumieniu przyjaźni z decydującymi mocarstwami świata, zapewnić równowagę na tej drugiej szali spraw międzynarodowych, jaką przedstawia Daleki Wschód.

Wpływ ułożenia się stosunków na Dalekim Wschodzie musi oddziaływać na sprawy Europy, skołatanej dwoma kataklizmami.

Być może, że najbliższy czas przyniesie rozwiązanie problemu pokoju w świecie, a być może, że to, co nastąpi, będzie jeszcze tylko jednym rozejmem. Pokój i na Pacyfiku, i w Europie — to nierozważalna sprawa. Równowaga mocarstw jest rzeczą chwiejną i zmienną. Stałym czynnikiem, który nigdy się nie zmienia, są zasady prawa i sprawiedliwości. Jeżeli państwa pojmą tę prostą prawdę i zdołają się na zagwarantowanie jej siłą, cywilizacja nasza będzie uratowana.

Kazimierz Grzybowski

Sprawa Mosley'a

Minister Spraw Wewnętrznych (Home Secretary) ma prawo na podstawie specjalnej ustawy t. zw. 18B, przytrzymać w areszcie prewencyjnym osoby, „których aresztowanie wydaje się ministrowi konieczne w interesie bezpieczeństwa publicznego lub obrony królestwa”. Jest to ustawa wyjątkowa. Wprowadzenie jej wywołało swego czasu bardzo gorącą kontrowersję. Argumentowano wówczas, że sprzeciwia się ona tradycji „habeas corpus” (angielskiego odpowiednika „neminem captivabimus”), która jest dla Anglików symbolem najcenniejszych praw obywatelskich. Należy jednak pamiętać, że uchwalono 18B w czasie wojny. W chwili gdy Niemcy po podbiciu kontynentu europejskiego szykowali się do inwazji Anglii i gdy można było przypuszczać, że użycia swych wypróbowanych metod wojennych, włącznie z piątą kolumną, — ustawa ta dała ministrowi możliwość nieszkodliwienia zaprzędanych przyjaciół hitlerizmu, a w szczególności Sir Oswalda Mosley'a i członków jego organizacji „The British Union of Fascists”.

Dnia 18 listopada 1943 r. obecny Home Secretary, socjalista Herbert Morrison, zarządził zwolnienie Mosley'a z więzienia. Zarządzenie swe uzasadnił ekspertyzą lekarską, która stwierdzała, że dalsze przetrzymywanie Mosley'a w więzieniu mogłoby zagrażać poważnie jego zdrowiu, a nawet życiu.

Wiadomość o zwolnieniu Mosley'a podzielała jak iskra, rzucona na beczkę prochu. Oburzenie opinii publicznej było — zwłaszcza w pierwszej chwili — niemal powszechne i wyrażało się (jak na Anglików) dość gwałtownie. Argument opinii publicznej doskonale wyraził popularny *Daily Mirror* w następującej karykaturze: dwu żołnierzy angielskich siedzi w leju powybuczanym na polu bitwy. Wokoło świszcza pociski, pękają granaty i wybuchają bomby. Żołnierze czytają gazetę, w której widnieją słowa: „Mosley, przywódca brytyjskich faszystów, ma być zwolniony z powodu złego zdrowia”. Jeden z żołnierzy mówi na to do drugiego: „Y'see, 'e might 'ave died!” To był argument tłumy. Argument emocjonalny i jak wszystkie argumenty emocjonalne — silny. Były jednak i inne argumenty. Niepoważne, pomawiające rząd o zмовę z faszystami; poważne, tłumaczące niewłaściwość posunięcia względami politycznymi. Była to nieomłn mała rewolucja. Komuniści organizowali wiece protestacyjne; zbierali podpisy pod rezolucją: „Zamknijcie Mosley'a z powrotem w więzieniu!”, wysłali delegację robotników do Izby Gmin. Ale nie tylko komunistów ponosił temperament (angielski temperament, rzecz prosta!). Protesty posypały się ze wszystkich stron od prawicy do lewicy, choć przyznać trzeba, że agitację tę najlepiej skapitalizowali dla swych celów komuniści.

Sprawa posunęła się tak daleko, że w debacie nad ordęciem królewskim w Izbie Gmin cały dzień poświęcono sprawie Mosley'a. Przeciwnicy zwolnienia powoływali się na oburzenie publiczne i na reperkusje polityczne (wewnętrzne i zewnętrzne), które są szkodliwe dla wysiłku wojennego. Obróczy

OPINIE ANGIELSKIE

Morrisona (a w miarę jak czas upływa, jest ich coraz więcej), twierdzili ze swej strony, że nie ma prawnego uzasadnienia dla dalszego przetrzymywania Mosley'a w więzieniu bez wyroku sądowego, zwłaszcza że przestał on być groźny. Politycznie popelniono, być może, błąd. Nie liczone się z tą powszechnością oburzenia, nie doceniono nienawiści szerokiej mas społecznej angielskiej do idei faszystowskich, których Mosley jest sztandarowym symbolem. Jednak, jak słusznie zauważył ktoś w dyskusji, „gdyby Mosley wydał był 100.000 funtów na propagandę swego ruchu, nie wiem, czy zyskałby taką reklamę jak ta, którą mu przysporzono agitacja”.

Znamienny epilog rozegrał się na meetingu w Wembley. Wembley jest to przedmieście przemysłowe Londynu i sala była mocno obsadzona komunistami. Na meetingu przemawiał m. in. minister Morrison. Następujące sprawozdanie — według reportera *News Chronicle* — ukazuje scenę angielskiego życia politycznego z tak ciekawej strony, że warto je zacytować. (Tylko jeden komentarz: czy możecie sobie, czytelniku, wyobrazić ministra w Polsce, wykazującego pod ostrzałem demagogicznych okrzyków tę zimną krew, cierpliwość, humor a nade wszystko tę najszerszą pasję prawdziwej demokratycznej walki, które wykazał Morrison).

Herbert Morrison rozegrał mecz okrzykowy z szeregiem ludzi, którzy mu przerywali, gdy wczoraj wygłosił w Wembley swe pierwsze od czasu zwolnienia Mosley'a przemówienie publiczne. Minister Spraw Wewnętrznych spodziewał się trudności, gdy przyjął zaproszenie na meeting, i nie został dłużny odpowiedzi nikomu. W miarę czasu przerywania były coraz częstsze, a głos Mr. Morrisona coraz bardziej się podnosił.

„Wielu z tych, którzy dzisiaj tak agitują”, — powiedział, — „domagało się marszów ludowych przeciwko Mosley'owcom, gdy byli oni w Londynie”. Głośno okrzyki „Głupstwa” i jakiś człowiek, krzyczący: „Nie mamy praw konstytucyjnych”. Minister odwrócił się: „Masz szczęście chłopcze, możesz przychodzić tutaj i krzyczeć na mnie i nie musisz się obawiać 18B”.

Jeden z przerywających o wyjątkowo donośnym głose wykrzyknął: „Co będzie ze współnikami Mosley'a?” Morrison odwrócił się: „Sądząc po waszym zachowaniu, weźmie się was wkrótce za jego współników”.

Głośny śmiech powitał uwagę ministra, że ma Mosley'a na oku. Ktoś krzyknął, aby Mosley'a oddać pod sąd, a odpowiedź Morrisona: „Proszę bardzo, ale pan napisze akt oskarżenia!”, wywołała tylko jeszcze większą wrzawę.

Pośród przerywań Morrison powiedział, że angielska partia komunistyczna, tak wojownicza obecnie, która jednak równie gwałtownie sprzeciwiała wojnie na początku, wiele nabruździła.

Głos ze sali: „Czy Czerwona Armia też brudzi?”

Morrison: „Spotkałem paru zarozumiałców w życiu, ale pan jesteś pierwszy, który przyrównuje Czerwoną Armię do angielskiej partii komunistycznej”. Ta odpowiedź wywołuje pandemonium na sali.

Przerywającym, którzy usiłowali go zakrzyknąć, odpowiedział: „Nie smakuję wam lekarstwo, więc boicie się go zażyć”.

W pewnym momencie wyglądało, jak gdyby Morrison musiał się poddać wrzawie. Wreszcie wykrzyknął: „Chętnie będę walczył o to, aby móc wygłosić to przemówienie do końca, ale nie myślę urywać sobie głosu, aby odpowiadać na pytania. Albo słuchacie, gdy mówię, albo kończę przemówienie”. Na to przeszkadzający umilkli.

Prasa polska w Wielkiej Brytanii

Pisałem raz o tym, że zdaniem moim zbyt wiele pism polskich ukazuje się w Anglii. Nieprzymiotnie Polskę atakującej *Daily Worker* twierdził to samo. Jest jednak zasadnicza różnica między nami. *Daily Worker* twierdzi, że jest zbyt wiele pism jak na potrzeby tak małej grupy, jaką jest emigracja polska w Anglii. Ja uważam, że jest ich za wiele jak na nasze możliwości.

Emigracja byłaby w stanie skonsumować znacznie więcej słowa pisanego, nie mówiąc o tym, że wiele pism czy pojedynczych artykułów ma nieprzemijającą wartość i stanowić będzie cenny dorobek polskiej literatury. Ale... niestety, przeciętna jakość pisanego na emigracji słowa jest tak uboga, że tylko poważne zmniejszenie objętości byłoby w stanie podnieść poziom polskiej prasy. Nawet w najpoważniejszych pismach wartościowe artykuły, opowiadania czy wiersze są rzadkie jak rodzyńki w ciście.

Prasa emigracyjna składa się z dwu dzienników i całego szeregu periodyków. Nie pokuszę się o scharakteryzowanie wszystkich, ale oto, ocena najważniejszych.

Dziennik Polski jest oficjalnym organem rządowym, wydawanym przez Ministerstwo Informacji i Dokumentacji. Fakt oficjalności jest olbrzymim handicapem z dziennikarskiego punktu widzenia. Związana, że rząd jest rządem koalicyjnym, a zatem znana polska drażliwość i wrażliwość mają otwarte pole do harców w niezdrowej emigracyjnej atmosferze. Drugim handicapem jest fakt, że ukazuje się w Londynie i musi wytrzymać porównanie z prasą londyńską, która ma o tyle większe możliwości techniczne i informacyjne. Po tych zastrzeżeniach muszę jednak z żalem stwierdzić, że *Dziennik Polski* jest pismem słabym. Jego artykuły są bezbarwne i nieinteresujące, a felietony na zbyt prowincjonalnym — jak na Londyn — poziomie. Ma doskonały przegląd prasy angielskiej i ciesząc się dużym wzięciem ryby

„To i Owo” — zbiór anegdot i drobnych obserwacji. Jest to rubryka dobrze pomyślana, ale nierówna w wykonaniu.

Dziennik Żołnierza: pismo wojska wychodzące w Szkocji. Redagowane bardziej żywo, choć nie zawsze z umiarem, który cechuje prawdziwą dojrzałość myśli. Nie ma ono kompleksu oficjalności. Artykuły jego są śmieszkie i wprowadzają często nowe elementy do polskiej myśli emigracyjnej. Niemniej i tu w porównaniu z prasą w Polsce przedwojennej — poziom jest niższy).

Z tygodników, o *Polsce Walczącej* pisałem ostatnio.

Wiadomości Polskie: pismo to jest spadkobiercą świetnych tradycji warszawskich *Wiadomości Literackich*. Wychodzi pod nominalną redakcją Zygmunta Nowakowskiego, a faktyczną — Mieczysława Grydzewskiego. Jest to niewątpliwie najlepiej i najżywiej redagowane pismo polskie w Anglii, brak mu jednak jasno wytyczonej linii myślowej. Polityka *Wiadomości Polskich* chodzą zygalskami. Z jednej strony postępową tradycją pisma i szeregi doskonałych pisarzy, którzy się wkoło niego grupują, z drugiej strony niezrównoważona pasja świetnego feljetonisty I.K.C., która zwodzi go na manowce nierozważnej inwetywy, nieścisłych plotek i napór zrozumiałych niedopowiedzeń i aluzji. To niezrównoważenie *Wiadomości Polskich* jest niepowetowaną szkodą. Jako pismo niezależne, żywe, inteligentne, o starej tradycji i świetnie redagowane mogłoby odegrać dużą budującą rolę. Tak jak jest, kupuje się *Wiadomości Polskie* dla sensacji, dla ciekawości „kogo znowu obsmarowali”. Prawdziwie wartościowe artykuły, wiersze i opowiadania znikają przegazzone krzykliwym apelem sensacji.

Z dwutygodników wymienić należy: *Mysł Polską*, organ endecji bieleczyków, pismo, mogące się pochwalić dobrą robotą dziennikarską i niezbyt dobrze zamaskowaną reakcyjnością. *Jutro Polski*, nudnawe pismo, wydawane przez Grabskiego, zawiera jednak czasami bardzo konstruktywne artykuły. *Robotnik*, organ P.P.S., bardzo nierówny w treści, gdyż nie umie zakreślić zdecydowanej linii między oficjalnością dygnitarzy partyjnych a wymaganiami redakcyjnymi. Tak np. coraz rzadziej spotykamy kronikę Słonimskiego, a zbyt często jakieś oficjalne wypociny. *Zielony Sztandar*, organ Stronnictwa Ludowego i katolicka *Sprawa* (wydawana w dwu językach) — wyczerpują listę poważnych dwutygodników.

Najpoważniejszą wartość posiada miesięcznik *Nowa Polska*, redagowany przez Słonimskiego. Zgrupowała ona najlepszych pisarzy emigracji i podjęła najtrudniejsze zagadnienia. Poziom poezji i prozy, drukowanej w *Nowej Polsce*, jest jak najwyższy. Ma one jednak dwie wady: nierówny układ treściowy i pewien brak wycucia aktualności.

Dominiak Szerbiec

*) Począwszy od dn. 1 stycznia b.r. nastąpiła fuzja „Dziennika Polskiego” z „Dziennikiem Żołnierza”.

WŁODZIMIERZ BRATKOWSKI

ODBUDOWA GOSPODARCZA POLSKI¹⁾

Przejsie od wojny do pokoju oznacza w dziedzinie zjawisk gospodarczych wprowadzenie zupełnie odmiennej skali wartościowania. System gospodarczy ma dawać ludności dochód oraz zatrudnienie, i od tego, w jakim stopniu zadanie to zostało wypełnione, zależeć będzie nasza ocena jego wartości. To wszystko, co tak ważne było tuż przed zakończeniem działań wojennych, może się stać nieistotne, albo nawet szkodliwe. Silnie rozbudowany przemysł, produkujący sprzęt, ma przez cały czas wojny pierwszorzędne znaczenie, otrzymuje pierwszeństwo w przydziale robotników, surowców i transportu, — tuż po ustaniu operacji może się stać balastem z punktu widzenia nowych zadań gospodarstwa społecznego. I na odwrót, działy produkcji, które w okresie wojny i anormalnych warunków, spowodowanych brakiem surowców i pracy, straciły na ten czas swoją rację bytu, odzyskują ją po wojnie.

Pomimo jednak przywrócenia „przedwojennej” skali wartościowania, powrót do stanu przedwojennego nie zawsze jest możliwy, a już w zupełnie wyjątkowych warunkach jest pożądanym. Wojna zrobiła ogromne przesunięcia w układzie sił gospodarczych. W skali międzynarodowej przesunięcia te to zubożenie jednych państw i wzbogacenie się innych. Stało się to skutkiem zniszczeń wojennych i rekwizycji albo też skutkiem zahamowania rozwoju pewnych terytoriów i nadzwyczajnego przyspieszenia rozwoju innych. Podobne przesunięcia zachodzą w wewnętrznej strukturze sił gospodarczych krajów wojujących, okupowanych i neutralnych. W stosunkach międzynarodowych zmieni się nie tylko rola poszczególnych państw na międzynarodowych rynkach towarów i kapitałów, zmieni się także ich pozycja polityczna, a to także pociągnie za sobą ważne konsekwencje gospodarcze.

Przesunięcia wojenne w podziale bogactwa uważa się na ogół za proces, niesprawiedliwy moralnie, za „niesłuszną wzbogacenie”. Wyrazem dążeń do usunięcia tego „niesłusznego wzbogacenia” były po pierwszej wojnie światowej reparacje, narzucone Niemcom. W stosunkach wewnętrznych stosuje się szereg założeń, wymierzonych przeciw bogactwu, uzyskanemu przez spekulację wojenną, nowo zebrane bogactwa wojenne zabiera się drogą nadzwyczajnego ich opodatkowania. Wydaje się jednak, że już powyższe wyliczenie wskazuje na niemożność powrotu do stanu przedwojennego.

Z drugiej znów strony powrót do stanu sprzed września 1939 nie jest również pożądanym. Lata między dwiema wojnami światowymi nie były ani dla Europy, ani dla reszty świata okresem pomyślnego rozwoju i nawet najbogatsze kraje świata widzą w historii gospodarczej tych lat odstraszały przykład. Rozwój gospodarczy nie postępował w zadowalającym tempie, a problem bezrobocia był w całym tym okresie smogiem, dręczącą społeczność. Było to w znacznej mierze wynikiem tego, że celem odbudowy po pierwszej wojnie światowej był powrót do stanu sprzed roku 1914. Ten układ stosunków gospodarczych nie dał się utrzymać, nie wytrzymał w każdym razie próby kryzysu lat trzydziestych.

Dziś celem polityki gospodarczej nie jest już powrót do okresu przedwojennego, ale zbudowanie nowego, bardziej zadowalającego układu stosunków. Powodów do zasadniczych zmian miały więcej jeszcze społeczeństwa uboższe, w których od rozwiązywania problemów gospodarczych zależał już nie dobrobyt, ale minimum egzystencji ludności.

Szczególnie trudne problemy stoją przed Polską. W okresie między dwiema wojnami rozwój gospodarczy nie dotrzymał u nas kroku przyrostowi ludności i kraj nasz z cyfrą 90 mieszkańców na kilometr kwadratowy był przeludniony. Polska przechodziła kryzysy powojennej gospodarki europejskiej bardzo ciężko, spadek dochodu społecznego był u nas rekordowy, spadek produkcji i zatrudnienia proporcjonalny.

Rozwój gospodarczy Polski hamowało w tym okresie zupełne jej odcięcie od dwóch obszarów, z którymi nasze ziemie były związane gospodarczo. Przemysł byłego zaboru rosyjskiego, nastawiony na rynki Rosji, znalazł się bez odbiorców, rolnictwo zachodnich ziem polskich, przemysł i górnictwo Śląska również straciły swoje dawne rynki. Organizm gospodarczy Polski ostał się w wojnie celnej z Niemcami, utrzymał swoją samodzielność i nie stał się dependencją Rzeszy, koszty tej wojny były jednak dotkliwsze dla słabszego przeciwnika, t. j. dla Polski. Wewnętrzna dynamika gospodarki Polski była jednak zbyt słaba na to, abyśmy utracione rynki zagraniczne mogli zastąpić rozszerzeniem chłonności rynku wewnętrznego. Wynikiem był ciągły kryzys zbytu zarówno w rolnictwie, jak i w przemyśle, ekstensyfikacja rolnictwa, charakterystyczna dla wschodniej Europy, i mała opłacalność przemysłu. Niektóre tylko działy przemysłu potrafiły utrzymać swoją opłacalność przez stabilizację cen na wysokim poziomie przy pomocy umów kartelowych i przez sztuczne ograniczenie produkcji.

Jedynymi warstwami społecznymi, które uważały układ stosunków gospodarczych za zadowalający, były: nieliczna grupa przedstawicieli monopolicznych gałęzi prze-

mysłu oraz bardzo liczna, może zbyt liczna grupa biurokracji państwowej. Do pierwszej z tych grup zaliczyć trzeba tych szczęśliwych przemysłowców, którzy zdolali wejść do rentownych karteli, zamykając źródło drzwi przed tymi, którzy mieli mniej szczęścia, lub zjawili się później na arenie. Taką uprzywilejowaną warstwą była też arystokracja robotnicza, zatrudniona w chronionych gałęziach przemysłu. Płace w tych rentowych fabrykach były niezłe, a zatrudnienie dość ustabilizowane. Ogólnie możnaby powiedzieć, że płace były tam udziałem w monopolicznym dochodzie, odrzucanym przez kartele.

Obok tego jednak ogólny poziom rentowności przemysłu i płac robotniczych był nie normalnie niski, a przywileje zatrudnionych w skartelizowanym przemyśle były udziałem nielicznych i wybranych, bo przemysł ten nie zwiększał ani produkcji, ani zatrudnienia. Silny przyrost ludności i bardzo liczne roczniki młodzieży albo nie znajdowały zatrudnienia w ogóle, albo znajdowały je w warunkach, dalekich od poziomu życia arystokracji robotniczej.

Niewystarczające tempo naszego rozwoju gospodarczego najlepiej możnaby scharakteryzować porównaniem cyfr stanu zatrudnienia w przemyśle i stanu bezrobocia. Zatrudnienia osiągnęło w r. 1939 poziom z r. 1928. Ogólna liczba zatrudnionych w przemyśle wynosiła w r. 1928 — 850,7 tys. robotników, w końcu r. 1938 — 808,4 tys. robotników, w połowie r. 1939 — 886 tys. robotników. Równocześnie jednak bezrobocie, które w r. 1928 wynosiło średnio 122,5 tys. robotników (po wyeliminowaniu wahań sezonowych), doszło w r. 1938 do ogromnej cyfry 354,4 tys. ludzi. W różnicy tych cyfr mieści się duża część przyrostu ludności robotniczej w Polsce. Wskazują one jasno, że zasadnicze problemy gospodarcze nie były u nas w tym okresie rozwiązane, ani nie były na drodze do rozwiązania.

Do obrońców naszego systemu gospodarczego zaliczylibyśmy poprzednio biurokrację państwową. Zadowolenie tej grupy z istniejącego układu stosunków nie opierało się także na wystarczającym dochodzie, momentem podstawowym było, jak się wydaje, raczej poczucie pewności, zabezpieczenie emerytalne i t. p. Administracja państwowa wykazywała u nas specyficzną ekspansję, przejmując pod swój bezpośredni zarząd cały szereg placówek przemysłowych i stwarzając w ten sposób nowe posady i stanowiska. Łączyło się to w niektórych wypadkach z bankructwami prywatnych kapitalistów, w innych — z eliminacją kapitału obcego, który mógł być niebezpieczny ze względu na swoje związanie z wrogimi ośrodkami dyspozycji. Ta ekspansja nie łączyła się jednak z przyspieszeniem rozwoju tych działów przemysłu.

Wydaje się, że celem polityki gospodarczej, którą chcielibyśmy widzieć w Polsce, musi być postęp gospodarczy. Modny stał się ostatnio sceptyczny stosunek do hasła postępu. Zarzuca się terminowi temu brak ściśle określonego znaczenia. Powtarza się ciągle twierdzenie, że każda zmiana jest postępowem w jakimś kierunku. W dziedzinie spraw gospodarczych termin ten jest jednak bardziej określony niż w polityce. Może on oznaczać albo zwiększenie bogactwa, — majątku i dochodu społecznego, albo zmianę klucza jego podziału na lepszy, — równiejszy czy sprawiedliwszy. Rozstrzygnięcie o tym, jaki klucz podziału bogactwa jest lepszy i sprawiedliwszy, jest na pewno oparte na sądach wartościujących, i definicja postępu w tej dziedzinie nie jest na pewno zupełnie ścisła. W krajach „dojrzałych”, w których nie ma pędu do zwiększania bogactwa, a jest tylko walka o podział już istniejącego dochodu i majątku, termin postęp ma ideologiczną i polityczną

treść. W warunkach polskich zwiększenie majątku i dochodu społecznego wysuwa się na plan pierwszy. Kraj nasz potrzebował przed wojną, a tym bardziej potrzebował będzie w przyszłości, ogromnych inwestycji, któreby zwiększyły majątek i dochód społeczny do poziomu, osiąganego przez społeczeństwa zachodnie, żyjące w nie lepszych warunkach naturalnych od naszych. Celem naszej polityki gospodarczej musi być dostosowanie tempa rozwoju gospodarczego do przyrostu ludności i intensywne zagospodarowanie Polski, któreby wyrównało nasz poziom wytwórczości i stopę życiową z Zachodem, z którym nas łączy aspiracja kulturalna, a od którego nas różni nasze ubóstwo gospodarcze.

Okres odbudowy nie może oczywiście zrealizować tak szeroko sformułowanego zadania. Powinien jednak dać wyraźny kierunek dalszemu rozwojowi. Przy rozwiązywaniu wszystkich problemów, narzucających się w tym okresie, należy stale dawać pierwszeństwo tej polityce, która potrafi kosztem bieżącego spoczynku rozwinąć zdolność produkcyjną na przyszłość. W krajach zamożnych można będzie pozwolić na dużą ekspansję cywilnego popytu na dobra konsumpcyjne. Pierwszą spontaniczną reakcją na ustanie działań wojennych będzie wzrost zapotrzebowania na towary konsumpcyjne i stopniowy powrót do przedwojennej stopy życiowej. Inaczej w krajach, których pierwszym zadaniem będzie odbudowanie zniszczonego aparatu produkcyjnego i zwiększenie jego zdolności produkcyjnej. Zadanie to będzie ważniejsze jeszcze niż natychmiastowe doprowadzenie spożycia do poziomu przedwojennego. Tereny polskie będą po tej wojnie, podobnie jak większość krajów europejskich, deficytowe w swoim bilansie handlowym. Kredyty zagraniczne, które otrzymamy, można będzie zużyć albo na akcję pomocy i podciągnięcie poziomu spożycia, albo na rozbudowę przemysłu. Część tych kredytów będą to sumy reliefowe, udzielone w towarach, i te z natury rzeczy będą mogły pójść wyłącznie na akcję pomocy i wyrównanie naszego deficytu konsumpcyjnego. Zgodnie z umowami międzynarodowymi, akcja pomocy U.N.R.R.A. ma się ograniczyć do pierwszych osiemnastu miesięcy po ustaniu działań wojennych. Wszystkie inne kredyty, które w tym czasie otrzymamy, powinny być tym bardziej użyte na cele produkcyjne. Po tym pierwszym okresie osiemnastu miesięcy każda kwota, wydana na uzupełnienie konsumpcji importem, umniejsza nasze możliwości importu produkcyjnego. Najważniejszą więc częścią naszego planu odbudowy będzie polityka handlu zagranicznego i takie pokierowanie obrotami towarowymi, aby import produkcyjny miał stałe preferencje przed importem czysto konsumpcyjnym.

Przemysł, który otrzymamy po wojnie w naszym zagębiu zachodnim, będzie bardzo jednostronnie nastawiony na produkcję uzbrojeniową i o ile nie przystosuje się on w ramach szerszego planu do zmienionych warunków, wynikiem może być ciężki kryzys zatrudnienia na tych terenach. Dwa będą główne problemy, wobec których przemysł ten stanie po usunięciu okupacji — rynki zbytu i źródła surowców. Pierwsze byłoby w pełni zagwarantowane, gdyby przemysł ten przestawił się szybko na produkcję urządzeń inwestycyjnych i gdyby tempo odbudowy i rozbudowy przemysłu przetwórczego było wystarczająco silne. Przemysł, nastawiony na zbrojenia, można przy pewnych dodatkowych inwestycjach przestawić na produkcję maszyn i innych urządzeń kapitałowych dla rozbudowujących się przemysłów przetwórczych i rolnictwa. Właściwe zagospodarowanie kolei też da temu przemysłowi duże zamówienia na lokomotywy i wagony, bo stan taboru będzie niewystarczający po tak długim okresie niszczenia eks-

ploatacji. Wewnętrzne rynki zbytu nie będą więc trudnym problemem po wojnie.

Trudniejsza będzie sprawa surowców. Wiemy, że dużą ich część importowaliśmy przed wojną i że skazani będziemy na ten import i nadal. Wojenne zaopatrzenie przemysłu w surowce opiera się na gospodarce przmysłowej, obejmującej także i te kraje, z których pochodziły surowce. Po wojnie cały eksport surowców trzeba będzie płacić, bo rud norweskich czy lotaryńskich za darmo przemyśl nasz nie otrzyma i jedynym sposobem płacenia będzie eksport. Od naszej umiejętności konkurowania i znalezienia rynków zbytu zależeć będzie możliwość rozbudowy. Mówiąc o eksporcie, należy podkreślić, że będzie to głównie eksport przemysłowy, bo dalsze forsowanie eksportu zbóż nie będzie chyba możliwe, a do chwili odbudowania pogłowia bydła i trzody rolnictwo nasze nie będzie miało w żadnym dziale wystarczającej nadwyżki produkcji na eksport. Nasze możliwości ekspansji gospodarczej na wewnątrz będą więc zależeć wprost od naszej zdolności ulokowania takiej części produktu na rynkach zagranicznych, aby pokryło to koszt importu surowców.

Możliwości rozwoju byłyby większe, gdybyśmy mogli liczyć na na kredyty zagraniczne. Rozbudowa naszego przemysłu nie opierałaby się wtedy na konieczności eksportowania za wszelką cenę, a zmartwienia zaczęłyby się dopiero w momencie terminu zwrotu kapitałów pożyczonych. Dopiero wtedy przemysł nasz musiałby sobie szukać zagranicznych rynków zbytu, a to, czy walkę tę mógłby wygrać, zależałoby od jego sprawności technicznej i rynkowej.

Dopływ kapitałów do Polski jest częścią międzynarodowego zagadnienia ruchu kapitału. Międzynarodowy rynek kapitałowy zginął jako pierwsza ofiara kryzysu lat trzydziestych i do r. 1939 nie było najmniejszych oznak jego odradzania się. Trudno przypuszczać, aby odrodził się on po tej wojnie. Popyt na kapitał inwestycyjny będzie po wojnie znacznie przewyższał podaż, i jedyne kredyty, które będą udzielane, będą kontrolowane przez państwowe i międzynarodowe organy. Wydaje się więc, że nie można dziś opierać ani naszych planów, ani przewidywań na kredytach zagranicznych, zwłaszcza że nie możemy dziś wiedzieć niczego ani o wielkości, ani o formie i warunkach kredytów, które moglibyśmy otrzymać. Równie trudne i zawodne mogłoby być kalkulowanie już dziś ewentualnych reparacji w pieniądzu oraz w towarach i opieranie na nich naszej odbudowy i przebudowy gospodarczej.

Opierając się na naszych własnych zasobach, możemy przeprowadzić odbudowę przemysłu, zdewastowanego przez wojnę i gospodarkę okupacyjną, tylko przy silnym zatrudnieniu tych podstawowych gałęzi przemysłu, które zastaniemy w kraju. W życiu gospodarczym Polski potrzebna będzie kontrolowana koniunktura. Tylko w warunkach dobrej koniunktury można będzie nadać jednolite tempo rozwoju różnym ziemiom, których los w czasie obecnej wojny i okupacji był tak odmienny. Na terenach, dziś inkorporowanych do Rzeszy, należy utrzymać kontrolowaną ekspansję kredytową, terytoria, tworzące dziś Generalne Gubernatorstwo, które będą miały za sobą szereg lat deflacji, należy wciągnąć do tego samego systemu ekspansji. Częściowo dokona tego ujednolicenie systemu pieniężnego i kredytowego oraz zniesienie granic celnych, dużo może w tym kierunku zrobić także nawiązanie stosunków handlowych pomiędzy firmami i ich powiązania kapitałowych. Wszelka akcja państwowa w formie zarządzeń czy ułatwień powinna sprzyjać temu ponownemu zrośnięciu się naszych ziem w jeden organizm gospodarczy. Największą pomocą, jaką administracja państwowa może dać życiu gospodarczemu w tym procesie scalania się naszego terytorium państwowego, będzie taka polityka gospodarcza, która by tworzyła chłonny rynek wewnętrzny na produkty przemysłowe.

Koniunktura, która tak będzie potrzebna ziemiom polskim, musi być jednak ściśle kontrolowana, rezultatem jej musi być rozszerzenie produkcji, a nie wzrost cen. Regulowanie cen i racjonowanie przydziału towarów konieczne będzie przez dłuższy czas ze względu na interesy słabszych konsumentów i na niedostateczne zaopatrzenie rynku. Istniejący aparat kontrolny należy jednak wykorzystać dla stabilizacji także i kosztów inwestowania, tak aby coraz większym sumom inwestowanym odpowiadały wzrastające wartości realne. System taki byłby właściwie kontynuowaniem gospodarki wojennej, jeśli chodzi o pełne wykorzystanie wszystkich rezerw ludzkich i kapitałowych, utrzymanie ograniczeń konsumpcji i skanalizowanie nadwyżek wzrastającego dochodu społecznego na inwestycje.

NOWOŚĆ!

ZDZISŁAW BRONCEL

ŁASKA NOCY

POEZJE

Cena: 200 milsów

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”

KRONIKA POLSKA

— Jako tom 15. wydawanej w Jerozolimie pod redakcją dra L. Kurdybachy „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie” ukazało się „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego.

— Nakładem wydawnictwa „Atlantis” w Harrow ukazała się w przekładzie Petera Jordana książka F. S. Kurcza „The Black Brigade”. Składa się ona z dwóch części: 1) „Between the Rivers Raba and Prut” i 2) „Armoured Adventure”.

— Komitet Polsko-Czechosłowacki w Jerozolimie wydał w przekładzie Marii Petry „Wybór poezji” Jerzego Wolkera. Trzy z ogłoszonych tu wierszy — „Serce”, „Żebracy” i „Gaj” — drukowane były w nr. 7. „W Drodze” z ub. r. wraz z artykułem tłumaczki o Wolkercie.

— Barnard & Westwood w Londynie wydali S. M. Marvey’a i T. Sempa „sceny dramatyczne z życia i walki podziemnej Polski” p. t. „Druga wyspa”.

— Londyński oddział Towarzystwa Szkocko-Polskiego („The Scottish-Polish Society”) wydał w przekładzie F. C. Amstruthera broszurę Seweryna Szczepańskiego p. t. „Education in Poland”.

— Jako numery 4. i 5. „Biblioteki Ruchu Ludowego” ukazały się w Londynie broszury „Pod Zielonym Sztandarem” i „Program podziemnego ruchu chłopskiego”. Pierwsza z nich, „pokłosie święta ludowego” z dn. 15 czerwca ub. r., przynosi teksty przemówień Mikołajczyka, Zaremby, Góskiego, Banachy, Kulerskiego i Jaworskiego, depeszy z Kraju oraz listów Komitetu zagranicznego P. P. S., Popiela, Seydy, Lichnera, Ślavi-

ka, White’a, Russela i Gawrilowica.

— „The British Council” w Jerozolimie wydała I. Epstein’a „Polish Companion to C. E. Eckersley’s „Essential English”, Book One”.

— Polskie „Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego” w Londynie wydało pięknie i bogato ilustrowaną broszurę A. Hausa i A. Bauera p. t. „Gdynia. From Fishing Village to International Port”. Broszurę poprzedziła przedmowa — Charles Jarman, wstępem — Adam Ciołkosz.

— Staraniem „Zrzeszenia Pracowników Polskiego Lotnictwa Komunikacyjnego w Wielkiej Brytanii” wyszła w Londynie książka Henryka Góreckiego „Przeszłość i przyszłość polskiej komunikacji lotniczej”.

— Nakładem „Biblioteki „Orla Białego” ukazała się broszura Kazimierza Rysia „Obrona Lwowa w roku 1939”.

— W Montrealu w Kanadzie ukazała się jednodniówka „Ogniwo”. Ma ona być zaczątkiem przyszłego polskiego pisma na terenie Kanady.

— Uniwersytet francuski w Montrealu postanowił stworzyć na wydziale inżynierii sekcję lotniczą i zaprosił dla organizacji tej sekcji prof. C. A. Mokrzyckiego z Politechniki Warszawskiej.

— Jak donosi nowojorski „Tygodnik Polski”, w Rio de Janeiro na jednym z głównych placów ma stanąć pomnik Chopina. Rzeźbi go August Zamoyski. Do postaci Chopina pozuje Zamoyskiemu Zbigniew Ziemiński, sławny w swoim czasie odtwórca Chopina w sztuce Iwaszkiewicza „Lato w Nohant”.

¹⁾ Por. nr. 1 (19) „W Drodze”. Część pierwsza artykułu pod tym samym tytułem. Dokończenie w następnym numerze.

WITOLD SZYMAŃSKI

PROBLEMY BAŁKAŃSKIE

BULGARIA

Przywykliśmy mówić o „kotle bałkańskim” i uważać półwysp bałkański za klasyczne siedlisko wszelkiego rodzaju niepokojów politycznych oraz walk narodowych i społecznych o niejasnym podłożu. Pogląd ten jest o tyle zrozumiały, że kwestia bałkańska w postaci t.zw. kwestii wschodniej była prawdziwą zmorą polityków europejskich przez cały wiek XIX. Łączyła się ona ściśle z powolnym umieraniem „chorego człowieka”, Turcji, której jedni życzyli jak najrychlejszej śmierci, inni zaś występowali w roli dobrotliwych lekarzy, nie zaniedbując przy tym żądań należnych im honorariów. Zawładł ten proces nie doprowadził do śmierci pacjenta, — ku wielkiemu rozczarowaniu bliższych i dalszych sąsiadów, — lecz przyczynił się do powstania szeregu nowych państw na półwyspie bałkańskim. Nowonarodzone narody, strząsnęły opiekę Imperium Otomańskiego, jęły dochodzić swych praw sposobami nieco prymitywnymi przy czynnej ingerencji oraz udanym zgorzeniu wielkich mocarstw europejskich.

W krótkim artykule niniejszym nie zamierzam analizować przebiegu rywalizacji wielkich mocarstw na Bałkanach, ani też dawać skrótu historii politycznej poszczególnych państw. Chcę tylko naświetlić pewne momenty w celu wyjaśnienia sytuacji obecnej. Zaczynam od Bułgarii.

Bułgaria jest obecnie chyba najbardziej zniechęconym państwem na Bałkanach. Zniechęcona przez Jugosłowian i Greków, — bo dopomaga Niemcom do podbicia tych krajów i okupuje część ich terytoriów; zniechęcona przez Rumunów, pomimo udanej przyjaźni, — bo odebrała im Dobrudżę; pojęta jest przez cały świat kulturalny, — bo po raz drugi pomaga Niemcom w urzeczywistnieniu ich zabobraczych planów. Bułgaria, jak mówią Anglicy, okazuje dziwny upór w stawianiu na złego konia. By zrozumieć ten dziwny upór, musimy na chwilę wrócić do w. XIX.

Stosunki między poszczególnymi narodami półwyspu bałkańskiego w w. XIX były, w odróżnieniu od obecnych, raczej przyjaźni. Łączyła je walka o niepodległość, walka przeciw wspólnemu wrogowi — Turcji. Nie było mowy o nienawiści między Serbami a Bułgarami, przeciwnie, działacze, niepodległościowi bułgarscy znajdowali wielokrotnie schronienie w Serbii. Tu jeden z pierwszych pedagogów bułgarskich, Neofit Bozveli, wydaje swe dzieło o wychowaniu, „Słowianobolgarskoje detowodstwo”, (Kragujewac, 1848). Znakomity bułgarski rewolucjonista Wasil Lewski, bierze udział w wypędzaniu garnizonu tureckiego z Belgradu w r. 1862 razem z wieloma swymi rodakami, zorganizowanymi w t. zw. Legii Bułgarskiej. Pomimo walki o unarodowienie swej cerkwi, opanowanej przez Greków-Fanariotów, znaczna ilość Serbów i Bułgarów bierze czynny udział w powstaniu greckim 1821—29. Bułgaria i Albania najpóźniej ze wszystkich państw bałkańskich uzyskały niepodległość, to też musiały korzystać z pomocy swych bardziej szczęśliwych sąsiadów. Krajem schronienia bułgarskich działaczy politycznych i powstańców, zwłaszcza w drugiej połowie XIX w., stają się ówczesne półniepodległe księstwa Wołoszy i Mołdawii. Neofit Rilski, jeden z wybitnych „narodnych budzieli”, autor pierwszej, wydanej w 1835 r. „Gramatyki bułgarskiej”, organizuje pierwsze szkoły bułgarskie na wzór rumuńskich. Bezpośrednio przed uzyskaniem niepodległości, a więc w latach 60-tych i 70-tych, znany działacz niepodległościowy, Luben Karawelow, wydaje w Braili pismo „Swoboda”, potem „Niepodległość”. Współpracownikiem tej ostatniej jest m. in. Hristo Botiw, największy poeta bułgarski i bohater narodowy.

Do ówczesnej Rumunii przybywają nie tylko zbiegli politycy i powstańcy, lecz także ludzie, szukający zarobku i swobodniejszego życia. Powstają szkoły bułgarskie, wychodzą książki, organizują się potężne towarzystwa, wspierane przez bogatych kupców, — Bułgarów z Braili i Odessy. Wiele z dzisiejszych bułgarskich towarzystw naukowych i kulturalnych, jak np. Bułgarska Akademia Nauk, miało swój początek w Rumunii.

Ten stan rzeczy zmienił się radykalnie z chwilą, gdy poszczególne państwa bułgarskie zdobyły niepodległość i zaczęły rywalizować ze sobą o wpływy i sporne tereny. Jednym z najważniejszych problemów bułgarskich, tym który leży u źródeł prawie wszystkich nieporozumień pomiędzy Grecją, Bułgarią a Serbią, jest sprawa macedońska. Jak wiadomo, cała prawie Macedonia miała przypaść Bułgarii na mocy postanowień Traktatu San Stefanańskiego z r. 1878. Traktat ten jednak został zmieniony w trzy miesiące później na skutek interwencji mocarstw. Bułgaria została podzielona na Bułgarię właściwą i t. zw. Wschodnią Rumelię. Te dwie części znowu się zjednoczyły w 1886 r., lecz Macedonia pozostała pod panowaniem tureckim do 1912 r., kiedy to została wyzwolona w wspólnym wysiłkiem Grecji, Bułgarii i Serbii podczas pierwszej wojny bałkańskiej. Po zwycięskim zakończeniu tej wojny sprzymierzeńcy szybko się pokłócili właśnie o Macedonię; wynikała z tego druga wojna bałkańska, w której koalicja, złożona z Serbii, Grecji, Rumunii i Turcji, pobiła i okroiła Bułgarię. Większą część Macedonii podzielono pomiędzy Grecję i Serbię. Poza tym Bułgaria straciła Dobrudżę na rzecz Rumunii.

Tu właśnie leży sedno zagadki całej następnej polityki bułgarskiej. Odtąd bowiem zaczęły się wysiłki Bułgarii, zmierzające do odzyskania ziem, utraconych w drugiej wojnie bałkańskiej, i do powrotu do postanowień Traktatu San Stefanańskiego. Ta polityka zacydowała o przystąpieniu Bułgarii do wojny po stronie Niemiec w 1915 r., rokowania bowiem o przyłączenie się Bułgarii do koalicji rosyjsko-francusko-angielskiej rozbiły się o upór Bułgarii i Serbii w sprawie macedońskiej. Wynikiem tej fatalnej decyzji, do której nie mało się przyczynił ówczesny car Bułgarii Ferdynand, Niemiec z pochodzenia a megaloman z usposobienia, było dalsze okrojenie Bułgarii: straciła ona resztę swych terytoriów w Tracji i została pozbawiona wyjścia na morze Egejskie.

Ponowne przyznanie większej części Macedonii Serbom i Grekom spowodowało emigrację do bułgarskiej części kraju około 200.000 ludzi i zorganizowanie regularnej wojny podjazdowej powstańców macedońskich. Powstańcy ci — Jugosłowianie nazywali ich poprostu bandytami — utworzyli coś na kształt niezależnego państwa w południowo-zachodniej części Bułgarii ze stolicą w Pirocie, zarazem siedzibą władz osławionej WMRO — Wewnętrznej Macedońskiej Rewolucyjnej Organizacji. Tu WMRO ściągало podatki z miejscowej ludności i organizowało napady zbrojnych watah na serbską część Macedonii poprzez granicę serbsko-bułgarską. Podczas tych napadów odbywało się bezlitosne mordowanie urzędników serbskich i „niebлагонадiоdnych” elementów ludności macedońskiej. WMRO nie ograniczało się jednak do terroryzowania Serbów; organizacja ta brała czynny udział w polityce wewnętrznej Bułgarii, terroryzując i mordując tych polityków, którzy nie działali zgodnie z jej dyrektywami. To wszystko miało, oczywiście, jak najgorszy wpływ na stosunki jugosłowiańsko-bułgarskie i było powodem nieustannych konfliktów. Na domiar złego, Macedończycy podzielili się na dwie części! Jedni, pod wodzą „wojewody” Todora Aleksandrowa, domagali się niezależnej Macedonii w ramach Federacji Jugosłowiańskiej, inni, z Protogerowem na czele, żądali przyłączenia do Bułgarii. Na tym tle niejednokrotnie dochodziło do prawdziwych bitew na ulicach Sofii i innych miast bułgarskich. W rezultacie zwolennicy Protogerowa zamordowali w 1924 r. Aleksandrowa; potem następca Aleksandrowa, Michaiłow, postarł się o zamordowanie Protogerowa w 1928 r., poczyni komitadżowie jakoś stracili impet i Michaiłow żyje podobno po dziś dzień.

Działalność WMRO przyniosła nieblichalne szkody obu narodom. Trudno byłoby objaśnić długotrwałość tego zjawiska, gdyby nie fakt, że Macedończycy, sprytniejsi i pracowitsi od Bułgarów, — są oni przez tych ostatnich nie bardzo lubiani, — doszli w Bułgarii do wielkich wpływów tak w administracji państwowej, jak i w życiu handlowym. Drugim ważnym czynnikiem w życiu WMRO była stała pomoc Włoch, które chętnie dostarczały komitadżom pieniędzy i broni. WMRO nie było zresztą jedyną terrorystyczną organizacją, utrzymywaną i popieraną przez Włochy. Ustaszcy również otaczani byli troskliwą opieką. Między dwoma pupilami istniała styczność, a nawet współpraca. Wyrażała się ona w wymianie instruktorów i różnych „speców” do specjalnych zadań. Król Aleksander Jugosłowiański został zamordowany właśnie przez takiego specjalistę, niejakiego Czarnozemskiego, którego WMRO wypożyczyło Ustaszom.

Sam przedmiot sporu, Macedonia, nie zdaje się być warta takiego przelewu krwi. Jest to kraj górzysty, bez bogactw naturalnych, malaryczny i nieciekawym. Żadnego spisu ludności na całość tego obszaru nigdy nie było, więc nie pewnego nie można twierdzić o jego charakterze etnicznym. Wiadomo jest tylko, że ludność jego liczy około dwóch milionów, przeważnie mówiących narzeczem, zbliżonym do bułgarskiego, jak twierdzą Bułgarzy, lub do serbskiego, jak twierdzą Serbowie. Poza tym mieszkają tam Grecy, Cyganie, Włochowie, wżg. Kuzowłasi, Turcy, Albańczycy i nawet Czerkiesi.

Byli ludzie zarówno w Bułgarii, jak i w Grecji i Jugosławii, którzy dążyli do załatwienia problemu macedońskiego drogą kompromisu, czyli jedyną drogą, jaką w ogóle może on być załatwiony. Pewne powodzenie osiągnęła Grecja, która, dążąc do ulokowania 1.500.000 Greków, wysiedlonych z Turcji na podstawie umowy o wymianie ludności między tymi krajami, postarała się również, za zgodą odpowiednich rządów i przy poparciu Ligi Narodów, o przesiedlenie ze swej części Macedonii Bułgarów do Bułgarii, a Kuzowłachów do Rumunii; na ich miejscu zaś osiedliła Greków z Turcji. W ten sposób Grecy doprowadzili do tego, że na terenie greckiej Macedonii, lub według nowej nazwy Północnej Grecji, była przed obecną wojną większość grecka, sięgająca powyżej 84%.

Bułgaria, po pierwszej wojnie światowej, nie tylko znajdowała się w stanie prawie ciągłego konfliktu z Jugosławią, lecz, z wyjątkiem Turcji, była otoczona państwami, któ-

re, będąc tak czy inaczej związane z obozem antyrewizjonistycznym, patrzyły z obawą na państwo, stanowiące część bloku rewizjonistycznego. A jednak w Bułgarii był polityk, który chciał wyrwać się z tego zaczarowanego koła nacjonalistycznych interesów i gry wielkich mocarstw. Politykiem tym był Aleksander Stambolijski. Był on Macedończykiem, leaderem Partii Chłopskiej, i doszedł do władzy na czele gabinetu koalicyjnego w r. 1919. Dążył do poprawy bytu materialnego i kulturalnego zacofanej wsi bułgarskiej i do umożliwienia warstwie chłopskiej wzięcia należnego jej udziału w życiu politycznym kraju. W dziedzinie polityki zagranicznej szedł wyraźnie na zbliżenie z Jugosławią. Konicowym jego celem miało być wprowadzenie ustroju republikańskiego oraz wejście Bułgarii do mającej powstać w Europie Środkowej i Południowej Federacji Państw Rolniczych.

Stambolijski jednak w swej walce o prawa chłopów poszedł za daleko i zraził sobie inteligencję i mieszczaństwo. Jednocześnie, swą bezwzględną polityką tępienia terrorystów zdobył sobie wielu wrogów wśród potężnej emigracji macedońskiej. Doprowadziło to do zamachu stanu z 9 czerwca 1923 r., dokonanego przez grupę „Narodni Zgovor” przy czynnej współpracy Macedończyków i organizacji kół wojskowych „Wojenna Liga”. Stambolijski został zabity w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach. Powstania chłopskie, wybuchy po przewrocie, zostały krwawo stłumione. Władzę objął reakcyjny gabinet Cankowa. Tak zginął największy w dziejach Bułgarii szermierz sprawy ludu, a zarazem największy jej polityk doby powojennej. Należy bowiem stwierdzić, że Stambolijski cieszył się zaufaniem i poparciem większości narodu i że miał nadzwyczaj konstruktywny program w dziedzinie polityki zagranicznej. Wiele z jego reform wewnętrznych, jak np. ustawa o obowiązkowej służbie pracy, nie tylko wytrzymało próbę życia i utrzymało się do dnia dzisiejszego, lecz zostały one także przejęte przez inne państwa europejskie, m. in. Polskę.

Śmierć Stambolijskiego miała ten bezpośredni skutek, że udaremniała próby porozumienia z Jugosławią, a poza tym wpłynęła ujemnie na dalszy bieg wypadków w Bułgarii. Odtąd nieufność pomiędzy inteligencją i mieszczaństwem z jednej strony, a wielką masą drobnych rolników pogrąża się coraz bardziej. Chłopi, pozbawieni swego przywódcy, rozbici na szereg odłamów i krytycznie nastawieni do rodzimej inteligencji, podpadają pod wpływ lewicowych robotniczych organizacji, coraz bardziej idą na lewo. Wśród mas bułgarskich, wśród których zawsze jest żywa legenda Rosji-Oswobodzicielki, rośnie nowy, lewicowy rusofilizm.

Ostatnie swobodne wybory, jakie się odbyły w Bułgarii, 23 czerwca 1931 r., dają 31 komunistów na 160 posłów do bułgarskiego parlamentu. Lecz najlepszym sprawdzianem wzrostu sympatii mas bułgarskich do Rosji Sowieckiej jest wizyta moskiewskiej drużyny piłki nożnej w Sofii na wiosnę r. 1939 — była to poprostu wielka manifestacja.

Próby znalezienia modus vivendi z Jugosławią tymczasem trwają nadal. Gorących zwolenników porozumienia się nie brakuje. Prof. Michałczew, filozof i dyplomata, wydaje w r. 1926 książkę pod tytułem „Integralna Jugoslawia”, w której rozważa możliwości rozwiązania problemu macedońskiego w ramach ogólnej federacji jugosłowiańskiej. Popierając ideę porozumienia również tak wybitni politycy i publicyści, jak Michaił Madżarow, współwłaściciel i główny redaktor najpoważniejszego pisma codziennego „Mir”, oraz Nikola Atanasow, korespondent Times'a do r. 1931, „następnie minister pełnomocny w Turcji, Rosji i Szwecji. Sprawa wywołuje ożywioną dyskusję w całej prasie bułgarskiej. Najgorętszymi zwolennikami porozumienia z Jugosławią są jednak członkowie grupy „Zweno”. Grupa ta składała się częściowo z członków dawnej Ligi Wojennej, częściowo z ludzi nowych, pozostających pod wpływem kilku nadzwyczaj zdolnych wojskowych. Ludzie ci dokonują w 1931 r. przewrotu w celu uzdrowienia życia politycznego kraju. Gabinet, na czele którego stoi Kimon Georgiew, jeden z bohaterów wojny światowej, nie może przeprowadzić tego, co zamierza, bo że swej strony zostaje wywrócony przez cara, który w obawie przed republikańskimi zapędami nowego rządu, bierze władzę w swoje ręce, a „Zweno” odtąd usilnie prześladowa. Najzdolniejsi członkowie grupy, Damian Welchew, Dimo Kazasoff, Kimon Georgiew, wędrują na pewien czas do więzienia, inni zostają usunięci ze swych stanowisk. Polityka porozumienia z Jugosławią była już rozpoczęta przez Aleksandra Malinowa, premiera koalicyjnego gabinetu chłopów i demokratów po zwycięstwie Partii Chłopskiej w wyborach 1931 r. Politykę tę prowadzi dalej Kimon Georgiew. Wyśliki te spotykają się z życzliwym przyjęciem w Jugosławii, gdzie również było wielu sympatyków porozumienia z Bułgarią. Bogolub Jewitcz, minister spraw zagranicznych Jugosławii od r. 1932, jest jednym z nich. W roku 1933 dochodzi do wymiany wizyt między królem Aleksandrem a carem Borysem. Trzecie

oficjalne spotkanie między nimi następuje w 1934 r., w dwa tygodnie przed tragiczną śmiercią króla Aleksandra. Władca Jugosławii jest przedmiotem olbrzymiej manifestacji ze strony ludności Sofii.

Tymczasem car Borys po upadku gabinetu Georgiewa, prowadzi politykę zabezpieczania się przed wpływami partii, przez niego niepożądanych. Utrzymuje w sile zarządzenie Georgiewa o rozwiązaniu partii politycznych, wprowadza nową ordynację wyborczą, dopuszczającą niewielką tylko opozycję w Sobranju, które odtąd staje się ciałem prawie wyłącznie doradczym. Rozpoczyna się okres osobistych rządów cara. W r. 1936 Damian Welczew i inni członkowie „Zwena” i Wojennej Ligi zostają ponownie aresztowani pod zarzutem spisku przeciwko carowi; Wojenna Liga jest rozwiązana. Car jest panem sytuacji, lecz prowadzi politykę bardzo ostrożną: utrzymuje orientację jugosłowiańską przy poparciu Niemiec, którym zależy na rozbiciu Małej Ententy. Ukoronowaniem tej polityki jest zawarcie paktu przyjaźni z Jugosławią w r. 1937.

Dalszy ciąg jest znany i nie potrzebuje specjalnego omówienia. Chciałbym tylko powiedzieć jeszcze parę słów o inteligencji bułgarskiej i o sytuacji obecnej. Rola, jaką inteligencja bułgarska odegrała, jest naprawdę tragiczna. Jest to ogólnie znany fakt, że większość narodu bułgarskiego jest przychylnie nastrojona do Rosji. Nie jest to wychowanie, ale poprostu sentyment szerokich mas narodu, mający łatwe wytłumaczenie w fakcie, że Rosja wydatnie się przyczyniła do powstania Bułgarii jako niezależnego państwa. Mało kto wie jednak, że w przeciwieństwie do tego wśród inteligencji bułgarskiej zawsze istniała obawa przed zalewem kulturalnym ze strony Rosji, co w konsekwencji równałoby się utracie niepodległości politycznej. Zadaniem tych ludzi było więc zwalczanie nadmiernych wpływów rosyjskich i zbliżenie się kulturalne i polityczne do Zachodu. Wyrazem tego dążenia były m. in. wyjazdy młodzieży bułgarskiej na wyższe studia właśnie na Zachód. Proces ten rozpoczął się zaraz po zdobyciu niepodległości i doprowadził do tego, że obecnie wśród starszego i będącego w średnim wieku pokolenia polityków, działaczy społecznych, uczonych i artystów ludzie z uczelni rosyjskich stanowią nieznaczna mniejszość. Wśród młodego pokolenia takich ludzi w ogóle nie ma ze zrozumiałych powodów. Usiłowania inteligencji bułgarskiej do stworzenia prawdziwie narodowych wartości kulturalnych i oparcia życia politycznego na trwałych podstawach w połączeniu z ciągłymi niepowodzeniami na polu polityki zagranicznej wpędziły wielką część tych ludzi w wąską szowinizm. Tym się tłumaczy zacietrzewienie polityków bułgarskich w ich dążeniu do odzyskania utraconych terytoriów i do naprawy rzeczywistych lub urojonych krzywd narodu bułgarskiego.

Są jednak oznaki, że poważne odłamy inteligencji zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa drogi, którą kroczy obecny rząd bułgarski. Członkowie byłej Wojennej Ligi pozostali czynni i zwalczali cara Borysa nawet po rozwiązaniu tej organizacji, jak o tym świadczy rozstrzelanie w czerwcu 1942 r. gen. Zaimowa, jednego z założycieli Ligi. Najwybitniejsi politycy bułgarscy, Michaił Madżarow, prof. Petko Stajnow i Mikołaj Muszanow, pozostawali przez cały czas w zacieklej opozycji do obecnego reżimu.

O ile się można zorientować, sytuacja polityczna w Bułgarii przedstawia się dziś w sposób następujący: opozycja, rekrutująca się z b. Partii Demokratycznej i prawego skrzydła Partii Chłopskiej, grupuje się dookoła Muszanowa i Stajnowa; grupa ta w połączeniu z b. Ligą Wojenną stanowi bardzo poważną siłę, lecz jej oparcie w terenie jest ograniczone; część b. Partii Chłopskiej jest pod wpływem t. zw. Frontu Ojczyźnianego — Otecstwen Front — obejmującego komunistów oraz socjalistów i mającego wielkie wpływy w sofijskich organizacjach robotniczych i wśród młodzieży wiejskiej oraz dążącego do zjednoczenia wszystkich przeciwników obecnego reżimu; większość Partii Chłopskiej pozostaje wierna swej dawnej linii politycznej. Należy przypuszczać, że wpływy ugrupowań lewicowych i skrajnie lewicowych wzrosły bardzo poważnie i że Otecstwen Front odegra jeśli nie decydującą, to w każdym razie ważną rolę w niedalekiej przyszłości.

Sytuacja rządu obecnego jest bardzo niepewna. Minister spraw wewnętrznych, Hristow, niedawno otwarcie przyznał, że istnieją „zorganizowane bandy przestępców, grasujących w górach”. Opozycja w Sobranju rośnie z dniem każdym; pro-niemiecką politykę Regentów i rządu krytykuje się otwarcie i ostro; wskutek bombardowań Sofii przez lotnictwo Sprzymierzonych zarządzono ewakuację tego miasta, co spowodowało ogromną dezorganizację w życiu publicznym i gospodarczym kraju. Należy przypuszczać, że rząd będzie się trzymał, pomimo tych niepokojów, tak długo, jak długo będzie miał za sobą wojsko. Bunt w wojsku może nastąpić z inicjatywą grupy Welczewa, mającego wielu zwolenników wśród oficerów, lub wskutek nieudanych działań wojennych. Wydaje się, że w bardzo niedługim czasie należy się spodziewać radykalnej zmiany w tej sytuacji.

WIKTOR WEINTRAUB

BENEDETTO CROCE

Faszyzm pozostawił po sobie pustkę we włoskim życiu politycznym. Croce jest dziś niewątpliwie najwybitniejszą indywidualnością we Włoszech. Cieszy się on w całym świecie ogromnym autorytetem moralnym. Nazwisko jego spotyka się też ostatnio często na łamach dzienników (przeważnie poprzedzone fałszywym tytułem profesora). Co nazwisko to reprezentuje?

Klerk, który nie zdradził

Croce jest gorącym wielbicem znakomitego włoskiego filozofa z XVIII w., Jana Baptysty Vico. Neapolitańczyk — podobnie jak i Vico — gorąco przywiązany do tradycji swego rodzinnego miasta, znalazł w nim pisarza, którego myśl zapłodniła jego własną, otworzyła przed nim nowe horyzonty i zaważyła mocno na całym jego późniejszym rozwoju.



Benedetto Croce

Otóż w książce swej o „Filozofii J.B. Vica” Croce kilkakrotnie nawraca z wyraźną przykrością do pewnej, tkwiącej w Vico sprzeczności: jak to się stało, że ten tak śmiały i głęboki myśliciel, wyprzedzający mocno swój wiek, jest równocześnie autorem płaskich i niesmacznych panegiryków, którymi wkładał się w łaski możnych?

W życiu Crocego tych sprzeczności nie ma. Nawet ludzie, których nie nie obchodziła „estetyka jako nauka o ekspresji i lingwistyka ogólna”, albo też „logika jako nauka o czystym pojęciu”, wiedzieli, że w Neapolu żyje wielki filozof i znakomity pisarz, który jest zawziętym wrogiem faszyzmu i który postanowił, nie emigrując z kraju, z faszyzmem walczyć. Sytuacja Crocego była jedyna w swoim rodzaju: reżim nie odważył się na zesłanie lub uwięzienie Crocego, ale starał się go otoczyć atmosferą pustki i wrogości, pozbawił godności, separował od uczniów i przyjaciół. Croce zaś nie miał możliwości napisania wprost tego, co o faszyzmie myśli, ale w swych książkach i w wydawanym przez siebie dwumiesięczniku „La Critica” stał w sposób pośredni, ale przeważnie wcale przejrzysty, a zawsze bardzo mocny, atakował faszyzm i jego politykę. W ten sposób przez bez mała dwadzieścia lat toczył się pojedynek między potężnym reżimem, a samotnym pisarzem. Przyniósł on Crocemu sławę nie tylko wielkiego pisarza, ale i wielkiego charakteru

Who is who

Ani pochodzenie, ani warunki życia wcale nie predestynowały Crocego na tego zawziętego wroga faszyzmu, jakim się z czasem miał okazać.

Urodził się w r. 1866 w Pescasseroli. Dziad był oddanym Burbonom wysokim urzędnikiem neapolitańskim, ojciec — zamożnym ziemianinem. Rodzina była konserwatywna, „dobrze myśląca”; jak ognia, przy którym można się sparzyć, unikano w niej polityki. Do szkół oddano go do Neapolu. Chodził do wytwornego katolickiego kolegium. Ma lat 17, kiedy w trzęsieniu ziemi traci rodziców i siostrę; jego samego odkopano z pod kupy gruzów. Zostaje przygarnięty przez wujka, znanego rzymskiego działacza politycznego i prawnika Spaventę. Studiuję w Rzymie prawo. Studia te jednak mu nie odpowiadają. Szybko je rzuca.

Z Rzymu wraca do Neapolu. Po śmierci rodziców zostaje dziedzicem dużego majątku. Może się poświęcić wyłącznie pracy naukowej. Początkowo pasjonuje go lokalna historia neapolitańska. Wkrótce staje się tu znanym erudyta: pisze studia z historii politycznej, literackiej, kresli sylwetki znanych osobistości i popularnych oryginałów, interesuje się historią teatralną.

Ale kariera pisarska typu Chędowskiego szybko przestaje mu wystarczać. Odczuwa

pustkę i czczość swoich dotychczasowych zainteresowań. Zaczynają go drażnić jako błahe i przyczynkarskie.

Z rozważań nad sensem i znaczeniem historii, ze studiów nad filozofią niemiecką, przede wszystkim Hegla, z węgbianiami, się w Vica i De Sanctisa — zaczął powoli wyrastać nowy system filozoficzny Crocego. Zmienia się zupełnie zasięg tematyczny i doniosłość jego prac.

Jedną z pierwszych jego prac filozoficznych jest książka — ściślej mówiąc, zbiór studiów — o „Materializmie historycznym i ekonomii markowskiej”. Wyjątkowo to ciekawa książka. Croce zapoznał się z „Kapitałem” Marxa jeszcze w Rzymie. Początkowo marksizm oślnął go: odkrył przed nim zupełnie nowe horyzonty. Szybko jednak przestał go zadawać: dostrzegł w nim doktrynalną ciasnotę, prostactwo interpretacji. Otóż studia Crocego o materializmie historycznym są nie tylko rozprawą z filozofią Marxa, — rozpraw takich napisano bez liku i toby jeszcze nie stanowiło o ich niezwykłości. Ale są one również jakby rozdziałem z duchowej autobiografii człowieka, który najpierw marksizmem gorąco się przejął, a potem z niego na naszych oczach wyrasta. To właśnie zadecydowało o wyjątkowej świeżości i żywości, jaka bije z tego tomu. W tomie tym znalazła też swój wyraz jedna z zasadniczych myśli filozofii Crocego: historia jest sama filozofia (jest „filozofia w ruchu”, — jak to określił jeden z amerykańskich komentatorów), skoro jest samowiedzą ludzkości, ale wszelka filozofia historii — nie tylko marksizm — jest nonsensem.

W r. 1902 pojawia się najgłośniejsze z jego dzieł — jego „Estetyka”. Jest to pierwsza z serii czterech książek, w których Croce wyłożył swój system filozoficzny. Nie sposób tutaj — w niewielkim artykule, zajmującym się przede wszystkim politycznym aspektem dzieła Crocego — wchodzić w nią bliżej. Trzeba tylko podkreślić tak najbardziej ogólnikowej charakterystyki, że jest to filozofia idealistyczna, filozofia czynu, bojowo antypozytywistyczna i że historia oraz problemy historyczne odgrywają w niej ważną rolę.

Warto też podkreślić tu pewną analogię, jaka się zarysowała między sytuacją Hegla a Crocego z jego późniejszych pism filozoficznych. Oto podobnie jak Hegel usiłował w ramach filozofii, wyrosłej na gruncie romantycznego poglądu na świat, ująć koncepcje Oświecenia (ideę postępu), tak i Croce stara się sprzągnąć idealistyczną, antypozytywistyczną filozofię z politycznym liberalizmem, który jest dzieckiem pozytywizmu.

Rok 1902 z innego jeszcze względu jest ważną datą w życiu Crocego. Oto w roku tym przystępuje on do wydawania własnego pisma „La Critica”. Pierwszy numer dwumiesięcznika ukazał się w styczniu 1903 r. Pismo to odegrało ogromną rolę w dziejach włoskiej kultury. Swego czasu skupiało ono szereg znakomitych piór. W ostatnich latach, kiedy współpracą w nim mogła być politycznie niebezpieczna i kiedy wskutek tego pismu brakło współpracowników, Croce wypełniał zeszyty jego niemal że w zupełności sam.

Z rozpraw, ogłaszanych w „La Critica”, narodziły się tomy studiów literackich i innych. Działalność Crocego nabiera z czasem coraz większego rozmachu. Imponuje zarówno tempem pracy, jak i rozpiętością tematów. Ogłoszona w r. 1936 przez Castellana bibliografia jego prac wlicza bez mała 50 tytułów książek oryginalnych (nie licząc wydań pisarzy włoskich i klasyków filozofii, których też jest nie mało), a trzeba pamiętać, że i po r. 1936 Croce pracował w tym samym tempie. Rozpiętość jego zainteresowań jest niesamowicie rozległa. Croce jest autorem licznych studiów filozoficznych, przede wszystkim z dziedziny estetyki i etyki, napisał książkę o Vico i książkę o Heglu, ogłosił monografię Goethego (w dodatku do tej książki zamieścił szereg przekładów z Goethego swego pióra) i Dantego; pisał o rewolucji neapolitańskiej 1799 r. i o historiografii włoskiej. Napisał książkę o wpływach hiszpańskich we Włoszech w epoce renesansu i tom studiów literackich „Poesia e non poesia” — sylwetki pisarzy europejskich od Alfieriego, Schillera i Waltera Scotta po Flauberta i Mallarmę. Ogłosił tomy studiów, poświęcone zagadnieniom historii sztuki i problemom wojny. Ostatnio, już w czasach faszystowskich, wydał szereg książek na tematy historyczne, takich jak „Historia Włoch od r. 1871 do 1915”, „Historia Europy w w. XIX”, „Historia jako myśl i jako działalność” i wreszcie „Historia jako dzieje wolności”.

Wszelki temat, na jakikolwiek pisać, ujmuję w ten sposób, iż nie tylko czuje się, że autor się do niego pasjonuje, ale także i coś z tej pasji udziela się czytelnikowi. Wszędzie — czy pisze o różnicy, jaka zachodzi między kroniką a historią czy o baroku włoskim, o Kleiście czy o siłach ideowych, kształtujących historię dziewiętnastowiecznej Europy — ma szczególną zdolność wchodzenia od razu in medias res z pominięciem szczegółów drugorzędnych. Jest pierwszorzędnym stylistą. Umie też być jadowicie cięty.

Jest wszędzie arcysubiektywny i sobiepański, aż do terminologii, używanej w nowym, jego własnym znaczeniu, odbiegającym od potocznego (znaczną część nieporozumień,

związanych z jego „Estetyką”, stąd się wywodzi). Często zaskakuje czytelnika niezwykłością swych twierdzeń, często wywołuje sprzeciw, nigdy nie pozostawia go obojętnym i nie nudzi. Lektura jego książek nie tylko zmusza do przemyślenia szeregu zasadniczych problemów, nie tylko wzbogaca czytelnika o nieznanne fakty, ale także daje satysfakcję obcowania z bogatą i bardzo wyraźnie zarysowaną indywidualnością. Wyraźnie też wyczuwa się patos etyczny jego książek. Czuje się, że jest to autor, który traktuje swoje piarstwo bardzo poważnie — jako swoją misję życiową.

Szczególnie wyraźnie zarysowało się to w tych książkach Crocego, które są bezpośrednio związane z jego walką z faszyzmem.

Croce polityk

Początkowo Croce trzymał się zdala od polityki. Kiedy go do niej usiłowano wciągnąć, zastanawiał się maksymą De Sanctisa, że człowiek uprawia dobrą politykę i służy ojczyźnie najlepiej, pracując nad tym, na czym się zna, bo kraj żyje nie samymi tylko debatami parlamentarnymi. W swym — arcyciekawym — szkicu autobiograficznym pisze, iż pracując nad „La Critica”, miał świadomość, iż „daje z siebie to najlepsze, na co go stać, spełnia dzieło polityczne (polityczne w szerokim sensie tego słowa)”. Nominacja w r. 1910 na senatora była tylko wyrazem uznania dla zasług znakomitego filozofa i krytyka. Croce zresztą w obradach senatu rzadko brał udział.

Do polityki sensu stricto wciągnął go pierwsza wojna światowa. Był przeciwny przystąpieniu Włoch do wojny, ale skoro ona i tak wybuchła, uważał za swój obowiązek przyczynić się w miarę swych sił do wysiłku wojennego. Ogłosił też w czasie wojny sporo artykułów na tematy aktualne (zebranych potem w osobnym tomie).

Do czynnej polityki usiłuje go wciągnąć Giolitti, który w r. 1920 ofiarowuje mu w swym gabinecie tekę ministra oświaty. Na stanowisku tym Croce zostaje przez rok. Kiedy się jednak przekonywa, że proponowana przezeń reforma wychowania nie ma szans uzyskania większości w parlamencie, rzuca tekę i wraca do Neapolu. Gdy w październiku 1922 r. wybuchła przewrót faszystowski, Croce początkowo nie wypowiada się przeciwko nowemu reżimowi. Jego przyjaciel, współpracujący z nim w „La Critica” filozof-heglista Giovanni Gentile, przeszedł na stronę faszyzmu i stał się z czasem oficjalnym filozofem dyktatury. Co więcej, niektórzy z historyków, doszukując się duchowej genealogii faszyzmu, widzieli w m. in. i w pismach Crocego, w tym mianowicie, co w jego idealistycznej filozofii było z reakcji antypozytywistycznej i apoteozy czynu. Croce następnie ojcostwa tego energicznie się wypierał, twierdząc, że od chwili założenia „La Critica” zwalczał zarówno nacjonalizm w polityce, jak i irracjonalizm w literaturze.

Zerwanie Crocego z faszyzmem nastąpiło w r. 1924. W odwet banda młodzieży faszystowskiej wdarła się do willi Crocego i spaliła mu bibliotekę. Z całego cywilizowanego świata posypały się energiczne protesty. O ponurej praktyce hitlerowskiej nikomu się jeszcze nie śniło i wyczyn młodych faszystów był na tle zachodnio-europejskich norm życia jaskrawym wybrzykiem. Mussolini zorientował się wtedy, że prześladowanie Crocego może go drogo kosztować, i machnął ręką. Pisarz zato do końca nie spoczął w swej walce z faszyzmem.

Crispi jako maska Mussoliniego

Najpoważniejszą rozprawą Crocego z faszyzmem jest jego „Historia Włoch od r. 1871 do 1915”, a więc od chwili pełnego zjednoczenia po moment przystąpienia do pierwszej wojny światowej.

Okres tych 45 lat był przez oficjalną historiografię faszystowską uważany za okres upadku Włoch. Croce pogląd ten zwalcza. Dowodzi, że dokonania Włoch w ciągu tego półwiecza były duże: wypracowały one sobie po raz pierwszy demokratyczne formy i instytucje państwowe. Skończyły z rządami anachronicznej arystokracji, wysuwając w ten sposób z włoskiej sceny politycznej rządy mafii i kamaryll. Ugruntowały w społeczeństwie wolność obywatelskie. Tempo ich ówczesnego rozkwitu gospodarczego — uprzemysłowienie, wzrost handlu zagranicznego — było olbrzymie. Przyrost naturalny ludności był wysoki, procent analfabetów stale opadał. Wprowadzono szeroko rozbudowane ustawodawstwo społeczne.

Mimo to wszystko — stwierdza Croce — we Włoszech powszechnie było niezadowolenie, kompleks niższości, wywołany porównaniem osiągnięć włoskich z niemieckimi. Kompleksem niższości tłumaczyć trzeba politykę Crispiego. Ambitny ten i energiczny polityk był premielem włoskim w latach 1887—96. Polityka jego była imperialistyczna. Crispi dążył do stworzenia w Afryce włoskiego imperium kolonialnego i — jak wiadomo — ponosił tu jedną klęskę za drugą. Nie powiodły się jego starania o zdobycie Trypolisu, próba zdobycia Abissynii przyniosła klęskę pod Adug, która też ostatecznie zadecydowała o jego upadku. Próby zdobycia Trypolisu łącznie z zawarciem z Niemcami i z Austrią trójprzymierza wtrąciły Włochy w wojnę celną z Francją, co katastro-

falnie odbiło się na włoskich finansach. Zaś idąca w parze z polityką imperialistyczną na zewnątrz polityka twardej ręki na wewnątrz doprowadziła do krwawych rozruchów w Mediolanie.

Tak więc — tłumaczy Croce — wywodząca się z kompleksu niższości polityka Crispiego ściągnęła na Włochy same klęski i niepowodzenia. Polityka ta wyrosła na szeregu złudzeń. Usiłowano ją wprowadzić usprawiedliwić potrzebą misji dziejowej dla Włoch. Ale misja dziejowa to mit.

Nie trzeba dowodzić, że Crispi jest tutaj tylko celem zastępczym, że bijąc rzekomo w niego, Croce ma tu na myśli Mussoliniego.

Książka Crocego przynosi jednak nie tylko atak na faszyzm. Daje także i próbę jego genezy.

Poczucie niezadowolenia — tłumaczy Croce — w jednej dziedzinie było w latach 1871—1915 zupełnie usprawiedliwione. Postępowi bowiem na polu gospodarczym i społecznym nie odpowiadał równie bogaty rozkwit kulturalny. Ale upadek kulturalny nie był zjawiskiem specyficznym włoskim. Był on wspólny całej ówczesnej Europie. Winowajcę widzi Croce w pozytywizmie, który zniszczył wiarę w istniejące dotychczas wartości duchowe, a na ich miejsce wprowadził bądź nie mogące ich zastąpić koncepcje mechaniczne (np. zamiast ideałów wychowawczych przepisy higieny), bądź pustkę, która musiała przynieść ze sobą nihilizm etyczny, kult fizycznej siły.

I to mamy nie dopowiedziany expressis verbis, ale tym nie mniej całkiem wyraźny jako zamknięcie wszystkich wywodów książki morał: faszyzm jest rezultatem powstałego na tle upadku kulturalnego nihilizmu moralnego społeczeństwa, opanowanego przez kompleks niższości.

Historia jako dzieje wolności

W innym planie — filozoficznym — walczy Croce z faszyzmem w ostatniej książce, jaką napisał przed wojną, w „Historii jako dziejach wolności”. W tej bogatej w myśli książce daje on filozoficzne uzasadnienie swego liberalizmu. Dziś, kiedy się mówi słowo „liberalizm” — myśli się przede wszystkim o liberalizmie gospodarczym. Croce traktuje liberalizm w innej płaszczyźnie. Dla niego liberalizm to kierunek polityczny, który ostateczny cel swej działalności widzi w wolności człowieka. Oddajmy tu lepiej głos samemu Crocemu: „Wolność nie jest przypadkowym faktem, ale ideą. Jeśli ją zbadać do głębi, okaże się, że nie jest niczym innym jak samą świadomością moralną”.

Mając to w pamięci, łatwiej zrozumiemy inne słowa Crocego:

„Często się dziś słyszy tryumfalne zapowiedzi, zrezygnowane wyznania albo rozpaczliwe lamentacje, że wolność opuściła ten świat. Mówi się: ideał wolności zaszedł na horyzoncie historii zachodem, który nie wróży wschodu. Ludzie, którzy tak twierdzą, zasługują na to wybaczenie, jakie głosił Chrystus, albowiem nie wiedzą oni, co mówią. Gdyby wiedzieli, albo gdyby się na chwilę zastanowili, uświadomiliby sobie, że mówią, iż wolność zmarła, znaczy to samo, co mówić, iż życie zmarło, albo iż zamarła się jego główna sprężyna”.

Wolność — tłumaczy tu autor — jest ideałem moralnym. Nie zdołały jej w zupełności stłumić epoki największej tyranii, tak jak z drugiej strony nie potrafiły i nigdy nie potrafią urzeczywistnić jej w pełni, w całej jej czystości, okresy znane w dziejach jako najbardziej wolnościowe, liberalne. Ale zawsze będzie sprężyną ludzkiej działalności politycznej. Dlatego historia to — jak to już sformułował Hegel — dzieje wolności.

Croce w Polsce

Książki Crocego doczekały się licznych przekładów. Najwięcej tłumaczyli je Anglicy i Niemcy. Ci ostatni przystąpili nawet z początkiem lat trzydziestych do wydania specjalnej serii jego „Zebranych pism filozoficznych”. Jego estetyka przełożona została m. in. na języki czeski i węgierski, jego „Filozofię praktyki” przełożono na język japoński.

Wstyd powiedzieć, ale ani jedna książka Crocego nie ukazała się w przekładzie polskim. Krakowska Spółka Wydawnicza zamierzała co prawda wkrótce po wojnie światowej wydać jego „Breviario di estetica” (którego nie należy mieszać ze znacznie obszerniejszą „Estetyką”). Przekład — pióra Julii Dickstein-Wieleżyńskiej — czekał u wydawcy na przedmowę, którą miał napisać najznakomitszy polski romanista i świetny znawca włoskiego życia kulturalnego, prof. Stanisław Wędkiewicz. Nierychliwy autor przedmowy zwlekał jednak tak długo, aż Krakowska Spółka Wydawnicza zbankrutowała. Piękne studium o antyhistoryzmie, ogłoszone przez Kołaczowskiego w „Marchocie”, to bodaj że jedyna rzecz Crocego, jaka się ukazała po polsku. Maurycy Mann ogłosił swego czasu książkę o Crocem, jako o krytyku i teoretyku literatury. Trochę rozgłosu w warszawskich sferach literackich wywołał na krótko przed wojną atakujący Crocego artykuł Henryka Elzenberga p. t. „Żyły estetyk i jego słowa”, ogłoszony w „Wiadomościach Literackich”. I to byłoby wszystko z godnych wspomnienia polonistów, związanych z Crocem.

I
Gdzieś w Londynie stoi fabryka, w któr.
rej pracuje. Pięć dużych budynków, rzuczo-
nych nieskładnie na olbrzymie tło zieleni. Zie-
leń — to skwery obok wysaltowanych jezior
 oraz place sportu i sier. Ta rozciągłość jest
 zastanawiająca. Czyżby przemyślni były tak tanie
 w Londynie, czy może „glutokraci” londyńscy
 są tak altruściyczni, że nie żałują grosza dla
 zdrowia swych pracowników; a może to jest
 po prostu tak samo przez się zrozumiałe, jak
 to, że kulturalny człowiek nie oszczędza na
 mydle?

Cały ten zespół gruntów, fabryki i innych
 zabudowań otoczony jest ozdobnym plotem
 drucianym, którego widok wzruszyby Sławoja
 do łez.

Przypominam sobie nasze fabryki w Pol-
 sce: jeżeli posiadają czasem zieleni, to była to
 zielenń plot, skrzętnie uprawianych. Jedynie
 były nie z asfaltu, ale z szutru (to bardziej
 luksusowe) i z błota, a ploty drewniane lub
 z drutu kolczastego, i istniały nie po to, aby
 zdobić, lecz dla ochrony. W tym kontraście
 widzę miarę naszej biedy i angielskiego bo-
 gactwa. Ten kontrast jest „leitmotywem” ni-
 niejszego reportażu. Będzie w nim wiele kry-
 tyki, ale na dnie wszystkich... Ojciec mój,
 gdy po raz pierwszy odwiedzał Paryż i Lon-
 dyn — a zrobił to w jednej podróży — tak
 te dwa miasta lapidarnie określił: „Gdy wy-
 jeżdżałem z Paryża, było mi smutno. Gdym
 wyjechał z Londynu, byłem zadowolony”.

Nie tylko fabryki planuje się to rozrzu-
 nie. Pociąg życia ludzi, którzy w tych fabry-
 kach pracują, jest taki, że dla nas traci mar-
 notrawstwem. Robotnicy i „staff”, czyli urzęd-
 nicy, żyją mniej więcej na równym poziomie
 materialnym. (Zresztą mam wrażenie, że i
 przeciętna zarobków jest ta sama, jeśli się wy-
 łączy dyrekcję. Nie ma tu tej przepaści nie do
 przebycia, jaka dzieli naszego robotnika —
 niedomatego, w poplamionym i poszarzanym
 ubraniu, w zabłoconych buciurach od dyrekt-
 ra, który zajeżdża przed fabrykę limuzyną. Tu
 „manager” ma auto — ale je sam prowadzi,
 myje i naprawia, lecz auto ma też wielu ro-
 botników. Każdy robotnik ma w domu łażen-
 kę, gazowy lub elektryczny piec kuchenny,
 radio i światło elektryczne. Bardzo wulu ma
 lodownię, odkurzacz elektryczny i dywany, a
 „manager” także nie ma służby. Przepaści
 nie ma, różnica jest jednak wielka. Walka to-
 czy się o zasady, a nie o omaste, która jest
 tak i tak udziałem większości. W fabryce ten
 wysoki poziom objawia się rozmaicie. Pn dwa
 razy dziennie rozwożona herbata i drożdżowe
 ciastka, które, tak czy owak, obciążają kie-
 sieć robotnika, ale nie ma nikogo ktoaby sobie
 tego odmówił; lub rekawiczki dla robotników,
 zatrudnionych przy pracy, która niszczy ręce,
 i t. p.

* * *

Wielu Anglików i wszyscy cudzoziemcy,
 którzy obserwują pracę w fabrykach broni i
 artykułów wojennych, wydają ją na „middle”,
 czyli bałagan. Jest to uprzedzanie sobie bar-
 dzo zwiłego zagadnienia, bo przecież to „ba-
 łagan” angielski zorganizował ewakuację z
 Dunkierki i „Battle of Britain” owych „nie-
 licznych, którym tak wielu zawdzięcza „tak
 wiele”. Nie można mówić też o „geniuszu im-
 promwizacji”, bo jest to tak samo pytkite uje-
 cie, do tego pełne tej usłużnej beżmyśności,
 którą Anglię nazywają „wishful thinking”.
 Nie należy również zapominać o tym, że Angli-
 cy stworzyli Imperium i tym Imperium rządzą.
 Tego nie potrafi ani „bałagan”, ani „geniusz
 improwizacji”. Wydaje mi się, że niewłaściwie
 ujmujemy tę sprawę, że patrzymy na Anglie
 oczami człowieka z kontynentu. Widzimy od-
 miennosć spraw i widzimy odmiennosć ludzi,
 ale jakoś trudno skłonić się do w następ-
 stwie przemyśle i sztuków. Na domiar zaś naszej
 nieoporności przyszła wojna i ta odmiennosć
 spraw i ludzi zatamala się znowu jak w spek-
 troskopie. Podmuch wojny, zwłaszcza „zaś
 „blitz” 1940 r., wywołał tu tak daleko idące
 zmiany, że nawet Anglię nie poznają samych
 siebie. Wszelkie określenia są więc, siłą rzeczy,
 nieściśle. Możemy natomiast rejestrować fakty
 i fotografować epizody.

Na szczyście hierarchii fabrycznej stoi Ge-
 neral-Manager. Jest to rudawy Szkot o nie-
 bleskich, melancholijnych oczach. Wiek: okie-
 ło 45 lat. Codziennie o 8-iej rano odbywa pół-
 godzinny, milcząco inspekcję fabryki. Przechad-
 za się wolnym, śpiącym krokiem. Widzi tylko
 to, co mu „foreman” chce pokazać. Potem
 znika. Wygląda, jak gdyby nie bardzo wie-
 dział, co za sobą zrobić. Przed wojną — gdy
 fabryka wyrabiała odkurzacze, — organizował
 zapewne sprzedaż lub reklamę. Rozpatrywał
 nowe pomysły czy ulepszenia. Chwilowo jest
 trochę anachronizmem. Fabryka niczego nie
 sprzedaje. Odkurzaczy się nie produkuje. Rek-
 lamy nie ma. Jedynym odbiorcą jest armia,
 która daje zamówienia i przepisy, w których
 niczego zmieniać ani ulepszać nie wolno.

Zastępcą General-Managera jest Works-
 Manager, Mr. Jones, Walijszczyk, lat około 40.
 Powinien być spiritus movens fabryki. Nie
 zawsze sobie umie dać jednak radę z naważ-
 problemów, jakie przynosiła wojna. Mr. Jones
 jest doskonałym fachowcem w fabrykacji od-
 kurzaczy, niestety, nie zna się na fabrykacjach
 wojennych. Nie jest inżynierem, jest natomiast
 siostrzeńcem głównego akcjonariusza fabryki.

Mr. Thomas jest Labour-Managerem. Je-
 go zadaniem jest organizacja pracy, rekru-
 towanie i przydział robotników do poszczegól-
 nych działów, rokowania z Trade Unionami.
 Jest to bardzo dziełny urzędnik, o jakim marzą
 wszyscy dyrektorzyc całego świata. Pilny, su-
 mienny, rzetelny, przemyślny. Przy obecnym
 braku sił roboczych dokonuje cudów. Fabryka
 ma spory zapas specjalistów — mechaników i
 rzemieślników — i pełno niekwalifikowanych

robotników. Nie jest jednak Mr. Thomas czło-
 wiekiem lekkomyślnym, który przepłaca pra-
 cowników. Przeciwnie. Piace w fabryce są
 niewygórowane, ale Mr. Thomas jest w bardzo
 zażyłych stosunkach z miejscową policją,
 oraz placem sportu i sier. Ta rozciągłość jest
 zastanawiająca. Czyżby przemyślni były tak tanie
 w Londynie, czy może „glutokraci” londyńscy
 są tak altruściyczni, że nie żałują grosza dla
 zdrowia swych pracowników; a może to jest
 po prostu tak samo przez się zrozumiałe, jak
 to, że kulturalny człowiek nie oszczędza na
 mydle?

Cały ten zespół gruntów, fabryki i innych
 zabudowań otoczony jest ozdobnym plotem
 drucianym, którego widok wzruszyby Sławoja
 do łez.

Nie tylko fabryki planuje się to rozrzu-
 nie. Pociąg życia ludzi, którzy w tych fabry-
 kach pracują, jest taki, że dla nas traci mar-
 notrawstwem. Robotnicy i „staff”, czyli urzęd-
 nicy, żyją mniej więcej na równym poziomie
 materialnym. (Zresztą mam wrażenie, że i
 przeciętna zarobków jest ta sama, jeśli się wy-
 łączy dyrekcję. Nie ma tu tej przepaści nie do
 przebycia, jaka dzieli naszego robotnika —
 niedomatego, w poplamionym i poszarzanym
 ubraniu, w zabłoconych buciurach od dyrekt-
 ra, który zajeżdża przed fabrykę limuzyną. Tu
 „manager” ma auto — ale je sam prowadzi,
 myje i naprawia, lecz auto ma też wielu ro-
 botników. Każdy robotnik ma w domu łażen-
 kę, gazowy lub elektryczny piec kuchenny,
 radio i światło elektryczne. Bardzo wulu ma
 lodownię, odkurzacz elektryczny i dywany, a
 „manager” także nie ma służby. Przepaści
 nie ma, różnica jest jednak wielka. Walka to-
 czy się o zasady, a nie o omaste, która jest
 tak i tak udziałem większości. W fabryce ten
 wysoki poziom objawia się rozmaicie. Pn dwa
 razy dziennie rozwożona herbata i drożdżowe
 ciastka, które, tak czy owak, obciążają kie-
 sieć robotnika, ale nie ma nikogo ktoaby sobie
 tego odmówił; lub rekawiczki dla robotników,
 zatrudnionych przy pracy, która niszczy ręce,
 i t. p.

* * *

Wielu Anglików i wszyscy cudzoziemcy,
 którzy obserwują pracę w fabrykach broni i
 artykułów wojennych, wydają ją na „middle”,
 czyli bałagan. Jest to uprzedzanie sobie bar-
 dzo zwiłego zagadnienia, bo przecież to „ba-
 łagan” angielski zorganizował ewakuację z
 Dunkierki i „Battle of Britain” owych „nie-
 licznych, którym tak wielu zawdzięcza „tak
 wiele”. Nie można mówić też o „geniuszu im-
 promwizacji”, bo jest to tak samo pytkite uje-
 cie, do tego pełne tej usłużnej beżmyśności,
 którą Anglię nazywają „wishful thinking”.
 Nie należy również zapominać o tym, że Angli-
 cy stworzyli Imperium i tym Imperium rządzą.
 Tego nie potrafi ani „bałagan”, ani „geniusz
 improwizacji”. Wydaje mi się, że niewłaściwie
 ujmujemy tę sprawę, że patrzymy na Anglie
 oczami człowieka z kontynentu. Widzimy od-
 miennosć spraw i widzimy odmiennosć ludzi,
 ale jakoś trudno skłonić się do w następ-
 stwie przemyśle i sztuków. Na domiar zaś naszej
 nieoporności przyszła wojna i ta odmiennosć
 spraw i ludzi zatamala się znowu jak w spek-
 troskopie. Podmuch wojny, zwłaszcza „zaś
 „blitz” 1940 r., wywołał tu tak daleko idące
 zmiany, że nawet Anglię nie poznają samych
 siebie. Wszelkie określenia są więc, siłą rzeczy,
 nieściśle. Możemy natomiast rejestrować fakty
 i fotografować epizody.

Na szczyście hierarchii fabrycznej stoi Ge-
 neral-Manager. Jest to rudawy Szkot o nie-
 bleskich, melancholijnych oczach. Wiek: okie-
 ło 45 lat. Codziennie o 8-iej rano odbywa pół-
 godzinny, milcząco inspekcję fabryki. Przechad-
 za się wolnym, śpiącym krokiem. Widzi tylko
 to, co mu „foreman” chce pokazać. Potem
 znika. Wygląda, jak gdyby nie bardzo wie-
 dział, co za sobą zrobić. Przed wojną — gdy
 fabryka wyrabiała odkurzacze, — organizował
 zapewne sprzedaż lub reklamę. Rozpatrywał
 nowe pomysły czy ulepszenia. Chwilowo jest
 trochę anachronizmem. Fabryka niczego nie
 sprzedaje. Odkurzaczy się nie produkuje. Rek-
 lamy nie ma. Jedynym odbiorcą jest armia,
 która daje zamówienia i przepisy, w których
 niczego zmieniać ani ulepszać nie wolno.

Zastępcą General-Managera jest Works-
 Manager, Mr. Jones, Walijszczyk, lat około 40.
 Powinien być spiritus movens fabryki. Nie
 zawsze sobie umie dać jednak radę z naważ-
 problemów, jakie przynosiła wojna. Mr. Jones
 jest doskonałym fachowcem w fabrykacji od-
 kurzaczy, niestety, nie zna się na fabrykacjach
 wojennych. Nie jest inżynierem, jest natomiast
 siostrzeńcem głównego akcjonariusza fabryki.

Mr. Thomas jest Labour-Managerem. Je-
 go zadaniem jest organizacja pracy, rekru-
 towanie i przydział robotników do poszczegól-
 nych działów, rokowania z Trade Unionami.
 Jest to bardzo dziełny urzędnik, o jakim marzą
 wszyscy dyrektorzyc całego świata. Pilny, su-
 mienny, rzetelny, przemyślny. Przy obecnym
 braku sił roboczych dokonuje cudów. Fabryka
 ma spory zapas specjalistów — mechaników i
 rzemieślników — i pełno niekwalifikowanych

robotników. Nie jest jednak Mr. Thomas czło-
 wiekiem lekkomyślnym, który przepłaca pra-
 cowników. Przeciwnie. Piace w fabryce są
 niewygórowane, ale Mr. Thomas jest w bardzo
 zażyłych stosunkach z miejscową policją,
 oraz placem sportu i sier. Ta rozciągłość jest
 zastanawiająca. Czyżby przemyślni były tak tanie
 w Londynie, czy może „glutokraci” londyńscy
 są tak altruściyczni, że nie żałują grosza dla
 zdrowia swych pracowników; a może to jest
 po prostu tak samo przez się zrozumiałe, jak
 to, że kulturalny człowiek nie oszczędza na
 mydle?

Cały ten zespół gruntów, fabryki i innych
 zabudowań otoczony jest ozdobnym plotem
 drucianym, którego widok wzruszyby Sławoja
 do łez.

Nie tylko fabryki planuje się to rozrzu-
 nie. Pociąg życia ludzi, którzy w tych fabry-
 kach pracują, jest taki, że dla nas traci mar-
 notrawstwem. Robotnicy i „staff”, czyli urzęd-
 nicy, żyją mniej więcej na równym poziomie
 materialnym. (Zresztą mam wrażenie, że i
 przeciętna zarobków jest ta sama, jeśli się wy-
 łączy dyrekcję. Nie ma tu tej przepaści nie do
 przebycia, jaka dzieli naszego robotnika —
 niedomatego, w poplamionym i poszarzanym
 ubraniu, w zabłoconych buciurach od dyrekt-
 ra, który zajeżdża przed fabrykę limuzyną. Tu
 „manager” ma auto — ale je sam prowadzi,
 myje i naprawia, lecz auto ma też wielu ro-
 botników. Każdy robotnik ma w domu łażen-
 kę, gazowy lub elektryczny piec kuchenny,
 radio i światło elektryczne. Bardzo wulu ma
 lodownię, odkurzacz elektryczny i dywany, a
 „manager” także nie ma służby. Przepaści
 nie ma, różnica jest jednak wielka. Walka to-
 czy się o zasady, a nie o omaste, która jest
 tak i tak udziałem większości. W fabryce ten
 wysoki poziom objawia się rozmaicie. Pn dwa
 razy dziennie rozwożona herbata i drożdżowe
 ciastka, które, tak czy owak, obciążają kie-
 sieć robotnika, ale nie ma nikogo ktoaby sobie
 tego odmówił; lub rekawiczki dla robotników,
 zatrudnionych przy pracy, która niszczy ręce,
 i t. p.

* * *

DOMINIK SZCZERBIC

remana czy gęststwa robotników, aby, broń
 Boże, nie doszło do konfliktu, aby, broń Boże,
 nie było zwłoki.

2) Alec — Cockney, podobno ex-krymi-
 nalista, najlepszy mechanik w fabryce, trochę
 luzus, trochę donosić. O niezwykłym tempe-
 ramencie, wiecznie gadający i dowcipujący.
 „Alec — you are the biggest flirt in the shop”
 powiedziała mu Mary, sekretarka Mr. Tho-
 mas’a. Fakt, że jest taki sympatyczny, najbar-
 dziej denerwuje u tego skończonego drania.
 Ostatnio pracowałem przez cztery niedziele.
 Dziś podchodzi do mnie Alec i mówi:

— Nie bądź głupi. Nie z tego nie masz,

że tyle pracujesz. Przecież to jest tak, że wszyst-
 ki tak zeżrą ci wszystkie pieniądze. Jeśli zarabiasz ponad
 7 funtów tygodniowo, to za każdego funta odbiera-
 ją ci 15 szylingów, — a więc taką niedzielę prze-
 pracowujesz za 5 szylin-
 gów. Nie warto.

W niedzielę wykonać
 można około 500 pocis-
 ków. Alec, jeśli pracuje w
 niedzielę (podwójna płaca),
 opuszcza jeden dzień
 w tygodniu, żeby nie pła-
 cić podatków. Dla sprawie-
 diwości muszę dodać, że
 jest jedynym robotni-
 kiem, który z rozmysłem
 opuszcza pracę.

3) Geoffrey — lat 20,
 wesoły, bardzo muzykal-
 ny i zawsze śpiewający.
 Bystry i inteligentny. Jest
 Żydem i zapalonym Tra-
 de Unionistą. To, że jest Żydem, nikogo nie
 grzeje, ani żebł. Kwestii Żydowskiej tu nie
 ma, — jak zresztą nie ma jej nigdzie w Anglii,
 — co nie znaczy, że nie ma antysemityzmu.
 Nie ma jednak tego robienia z igły wideł, które
 tak psuło krew i utrudniało życie w Polsce
 zarówno Żydom, jak i Polakom.

4) Harry — nigdy nie gołony i często
 niedomyty Szkot. Lat 30. Wygląda jak tuman,
 jednak przy bliższym poznaniu wychodzi na
 jak niezwykłe oczytanie i duża rozpiętość za-
 interesowań. Jest przy tym dowcipny i weso-
 ly. Jest komunistą. Aż do czasu ataku Nie-
 miec na Rosję ironizował na temat „wojny
 imperialistycznej”, obecnie obnosi najwię-
 sze komunikaty z pola bitwy i jest nawet bar-
 dzo „owszem”, co nie przeszkadza mu w wy-
 migiwaniu się od cięższej pracy. Wprawdzie
 nikt się tu nie przemęcza, ale Harry celuje
 w markowania.

Kobiety: przeważnie dziewczęta między
 18-tym a 23-cim rokiem życia. Poziom umyś-
 towy bardzo niski i w przeciwieństwie do mę-
 czyzn. Mam wrażenie, że uproszczenie tych
 wszystkich produktów cywilizacji przemysto-
 wej, które dają namiastkę luksusu, rozwidły-
 to i dziewczęta, chore w domu na „house-
 wife” i do „housework”. Emancypacja jest
 dla nich kina, dancing, lakierowane paznokcie,
 wieczna ondulacja i standardowe „sweets”.
 Rozmowa toczy się na temat „boy-friend” i
 nowych ściegów do sweterka. Trzeba jednak
 przyznać, że przy tokarniach są dobre, pilne
 i szybko się orientują. Zastępują mężczyzn
 prawie przy wszystkich robotach. Grymaszą
 wprawdzie jeszcze, np. obawiają się, że jakas
 praca może zepsuć im cerę, zepsuć oczy lub
 — horrible dictu — wieczną ondulację —
 „perm”; ale jest to tylko kwestia od-
 powiedniej permyż, a wszystkie grymasy
 idą w kąt. Najpoważniejszym argumentem
 będzie wyrównanie rozpiętości płac. Dziś ko-
 bieta zarabia przeciętnie 10 pensów na godzi-
 nę. Przeciętna mężczyzna jest 1/6. Wystarczy
 drobna podwyżka dla kwalifikowanych kobiet,
 a zapanują o wszelkich grymasach.

Zewnętrznie różnice między robotnikami
 a urzędnikami nie ma. Na ulicy, w pub’ie czy
 w kinie nie zawsze można odróżnić robotnika
 od gentlemana. Poziom umysłowy też jest
 równy. Ta sama, trochę naiwna, niebystkowiła
 konwersacja toczy się w kantine dla robot-
 ników i w kantine dla urzędników. Lecz sam
 fakt, że są dwie kantine dla ludzi o tym sa-
 mym poziomie wychowania i inteligencji,
 świadczy o tej ostro zakreślonej granicy, jaka
 dzieli (lub jak niektórzy chcą — jaką prze-
 dzielono) klasę robotniczą od klasy gentelma-
 nów. Byłoby to przedsięwzięciem zbyt daleko
 idącym, gdybyśmy w ramach tego reportażu
 usiłować skreślić wyraźny obraz tej walki,
 jaka się toczy. Poprzedzając więc na stwierdze-
 nia, że ta walka trwa dalej mimo wojny i że
 toczy się ze zmiennym szczęściem pomiędzy
 dwoma świetnie zorganizowanymi obozami —
 Trade Unionami i Partią Konserwatywną.
 Trzeba również stwierdzić, że ma to wyraźne
 ujemny wpływ na wydajność i produkcję.
 System kapitalistyczny, w przeciwstawieniu
 do totalizmu lewego czy prawego, jest wyraź-
 nym hamulec przy produkcji wojennej. Za-
 rząd — oś całej organizacji fabrycznej w
 ustroju kapitalistycznym — jest w naszej fabry-
 cy (ale tak samo w większości innych fabryk)
 pozycją raczej ujemną w bilansie wydaj-
 ności. Dyrektorzyc, managerzy czy foremani,
 wysunięci na swe stanowiska dzięki majątko-
 wi, panceru lub, w najlepszym razie, przez
 kwalifikacje istotne dla produkcji artykułów

niewojennych, w znacznym stopniu nie do-
 rastają do zadań. Usunąć lub przenieść ich do
 innej fabryki nie można, a więc marnotrawi
 się pracę sił kwalifikowanych, maszyn stoją
 bezczynnie, organizacja sranakuje. Chęć zysku
 czy troska o przyszłość każą znów wykorzy-
 stywać przywileje, nadane z myślą o wojnie,
 a nie z myślą o zysku. Np. ostawione kontrak-
 ty, oparte na zasadzie „koszta ÷ 10%” kuszą
 do nadużyć, bo im droższa produkcja, tym
 większy zysk, a im powolniejsza, tym droższa.
 Ustawa, zabraniająca opuszczenia pracy, wię-
 dzi bezczynnie olbrzymią ilość szkolonych sił
 robotniczych, bo właściciel fabryki czeka na
 obiecany kontrakt. Z drugiej strony jednak
 Trade Uniony, a nawet niezrzeszeni robotnicy,
 wykazują wielką, często przesadną nieustępli-
 wość wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi ich
 prawa i przywileje, zasady czy kieszeń.

Anglików nie można porwać takim argumen-
 tem „hurrapatriotyzmu”. Trzeba ich przeko-
 nać. Ale argument
 wywołuje dyskusję
 a dyskusja przeważ-
 nie nie przekonuje
 nikogo. Czasami
 gniewa nas to tak
 bardzo, że myślimy
 o tym, iż przeciw
 u nas dyscyplina była
 większa i że umiano
 „brać za mordę...”
 I nagle to „brać za
 mordę” przypomina
 nam cały napuszo-
 ny, zakłamaną ok-
 raz naszej sławo-
 wej, ale także nie-
 szawnej przeszłości.
 Uświadamiamy so-
 bie, że walka toczy
 się także o to, aby
 te rzeczy nigdy nie
 powróciły, i zdaje-
 my sobie sprawę, że
 mimo wszystko, tak
 jak tu jest — jest
 przecież zdrowie!

Gdy mowa o robotnikach, nie wolno po-
 minąć kwestii komunizmu. Wszelkie wymyła-
 nie tej sprawy jest chowaniem głowy w piasek.
 Sympatie prorosyjskie klasy robotniczej są
 wynikiem zapatrzywań, do komunizmu bar-
 dzo zbliżonych. Lord Beaverbrook genialnie
 to wywniósł, gdy rzucił hasło: „Tydzień tanków
 dla Rosji”. Żadnym innym sloganem nie wznie-
 ciłby tego entuzjazmu i tego zapału, który

II
 — Stanley, kto napisał „Opowieść o dwu
 miastach”?
 — Dickens.
 — Widzisz, Jack, że miałem rację.
 Jim i Jack są przyjaciółmi. Mają obaj po
 lat 18. Stanley — to ja. Stanisław. Lat 36.
 Apeluja do mego 36-cio letniego doświadcze-
 nia we wszystkich sprawach spornych. A jest
 ich dużo, bo ci „milczący” Anglicy cały dzień

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Owsi, jęczmieniu sumiaste,
 chłopskie poetka, żytko liche...
 To było dwie mile za miastem,
 pod lasem sosnowym, cichym,

Był to niewielki pagórek,
 kilka sosen, gąszczem jeryny...
 Szczeniaki, śpiewalmsy chórem:
 „Naprzód, strzelecka drużyno.”

Drużynicy, siódmoklasiści,
 konspiracja, (już byliśmy w kozie),
 śpiewaliśmy uroczystie
 o powstańczej kuli,
 o powstańczym powrozie.

To było przed tamtą wojną,
 piętnaście lat — to niewiele.
 A śpiewać nie było wolno:
 grób powstańców, a śpiewał „Strzelec”,
 o powstańczej kuli.

Kradliśmy karabiny
 Niemcom w dziewięset piętnastym.
 To było w cieniu
 Grochowskiej Olszyny,
 to się działo,
 w chmurach nad moim miastem.

A potem, a potem, a potem, —
 wiele lat, wiele krwi, wiele śmierci:

JAN LECHON

Wiewie między aleje wiat listopadowy,
 Zawiewa śnieg, co zimnem do głębi przenika.
 Ach! Ileż mi to razy już przyszło do głowy,
 Że to jest właśnie polska prawdziwa muzyka.

I czuję was ja wczoraj, o powiewy wiatru,
 Widzę płomień czerwony i trójgón ozdobny,
 I słyszę, jak z balkonu Wielkiego Teatru

REPORTAŻ Z FABRYKI BRONI

produkcję tego tygodnia podniósł o 20%. To
 jest fakt, z którym trzeba się liczyć. To
 prawda, że komuniści Anglię są przeważ-
 nie nie bardzo ortodoksyjni, to prawda, że nie
 skupiają się bynajmniej w partii komuni-
 stycznej, to prawda wreszcie, że byli dość kry-
 tyczni zarówno wobec polityki Stalina, jak i
 wobec polityki Harry Pollita, ale Anglię są
 zbyt oportunistyczni, aby nie wyciągnąć kon-
 sekwencji z obecnego braterstwa broni z ZSRR.

Polska ma dobrą opinię w mojej fabryce.
 Co prawda, głównie dzięki dziewczętom, które
 szaleją za polskimi lotnikami, stacjonowany-
 mi w okolicy; ale i mężczyźni są pełni entu-
 zjazmu, zwłaszcza dla naszych myśliwów,
 których sukcesy mi codziennie raportują. W
 le wypowiedzia i serca okazują dla losu naszych
 rodaków pod okupacją niemiecką. To zainte-
 resowanie Polską ma, niestety, charakter wy-
 łącznie towarzyski lub humanitarny, a nie
 polityczny. A taki stan nie ogranicza się do te-
 renu fabryki, w której
 pracują, można
 go uogólnić. Aby za-
 interesować dzisiaj
 Anglików Polską,
 nie wystarczają a-
 pele do współczucia.
 Anglia oczekuje, że
 z piekła tej wojny
 zrodzi się nowy
 świat. Ku temu no-
 wemu światu biega
 dziś wszystkie myśli
 i dlatego propaga-
 nda nasza powinna
 sięgać raczej w
 przyszłość, niż w
 przeszłość. To, czym
 Polska była, — inte-
 resuje dzisiaj nie-
 wielu. Zainteresowań
 ich może to, czym
 Polska ma zamiar
 być.

III
 — Stanley, kto napisał „Opowieść o dwu
 miastach”?
 — Dickens.
 — Widzisz, Jack, że miałem rację.
 Jim i Jack są przyjaciółmi. Mają obaj po
 lat 18. Stanley — to ja. Stanisław. Lat 36.
 Apeluja do mego 36-cio letniego doświadcze-
 nia we wszystkich sprawach spornych. A jest
 ich dużo, bo ci „milczący” Anglicy cały dzień

IV
 — Stanley, kto napisał „Opowieść o dwu
 miastach”?
 — Dickens.
 — Widzisz, Jack, że miałem rację.
 Jim i Jack są przyjaciółmi. Mają obaj po
 lat 18. Stanley — to ja. Stanisław. Lat 36.
 Apeluja do mego 36-cio letniego doświadcze-
 nia we wszystkich sprawach spornych. A jest
 ich dużo, bo ci „milczący” Anglicy cały dzień

MOGIŁY

pod Jastkowem leży pokotem
 półowa Czwartej Pułku.
 z kulą w pierś.

A potem — wołyńskie Koszyszcze,
 groby, krzyże brzożowe,
 wnie spalone, drewniane zgłiszczu,
 lasy sosnowe...

Ja wiem, na skwerach w Warszawie
 groby wyrosły.
 W zbурzonej Warszawie prawie
 nie widzą wiosny.

W krwawej Warszawie, w Warszawie pięknej,
 jeśli wystarczy siły,
 na trouzarcie krwawym ukleknę
 i ucałuję mogiły.

I wiem, że to będą mogiły te same,
 co pod Szupnem, pod Borowicami
 wiem, że można nas tamać,
 a nie można złać,
 i ciągle trzeba siły,
 żeby wrócić do Wisły i Narwi.

Nie. Różnicy klasowej tu nie widać. Ale
 czuje się ją, słyszy się i czyta się o niej. I to
 nie tylko w prasie lewicowej, ale i po drugiej
 stronie barykady. I znowu porównanie: u nas
 prasa reakcyjna czy jak wolicie prasa wielkie-
 go kapitału na ogół przemleżała konflikt kla-
 sowy. Walka klas dla prawicy nie istniała.

Kwestii robotniczej ani socjalizmu „natural-
 nie” nie było. Tutaj reakcja nie chwyciła się
 kim myśli i o wszystkim, Anglik o wszyst-
 kim myśli i o wszystkim, bardzo sumiennie
 dyskutuje. Tu walka klas naprawdę istnieje,
 ze świadomości przynależności klasowej jest
 bardzo wyraża — ale starcie rozgrywa się
 w dziedzinie myśli. Tak, jak być powinno.
 Wszak „homo est maxime mens”.

W fabryce, podczas przerwy, wiele się dys-
 kutuje. Głównie na tematy polityczne i wo-

sonie sprzecza. Nieraz zastanawiam się nad
 tym, skąd biorą tyle tematów do kłótni. A te-
 maty są ważne i istotne, jak widać z powyż-
 szego zapytania. Innym razem Jack wyciągnął
 mnie na rozmówkę o standardzie złotowym
 waluty angielskiej. Nieprzejmnie rzeczowe
 były jego pytania. Przysłaćk mnie co chwila
 do muru podchwytliwym, precyzyjnym pyta-
 niem. Czujnie wynajdywał każdą błągę lub
 nieścisłość. Nigdy więcej nie dam się nabrać
 na rozmowę o walucie. Miałem nauczkę.

W styczniu spotkałem ich raz w kolejce
 podziemnej, Jim, w skórzanym wiatrówce, bez
 paska. (Ci Anglicy więcej garderoby noszą
 pod koszulą, niż na kosz-
 li). Elegancka popielinowa
 koszula. Świetnie leżący
 kołnierzyk i spokojny
 ciemny krawat, zawią-
 nany lege artis. Spodnie
 szare „szalaczki”. — Jak
 u większości Anglików
 poplaminie. Buty wypu-
 skowane na glanc. Jack w
 mundurze i pasczurowo-
 kowym z naszywką „Ho-
 me Guard”. Obaj bez ka-
 peluszy. Jest dziedzisto i
 mglisto i siódma godzina
 rano. Brrrr... Obaj mają
 gazety. Jack studiuję
 wczorajsze wyniki spor-
 towe, a Jim czyta naj-
 nowszy skandal rozwo-
 dowy.

— Hallo, Stanley! —
 Mrugnięcie okiem jest w
 Anglii charakterystycznym
 narodowym zwyczajem
 przy witaniu się. Jak u nas w Pol-
 sce uścisłk dion. Opowiadają, że podobno Ar-
 bowie w Bengazji witali wracających Angli-
 ków mruganiem (po polsku t. zw. perskie oko),
 myśląc, że jest to angielski odpowiednik fa-
 szystowskiego ukłonu wyciągnięta ręki.

— Wiesz, Stanley, bomba trafiła schron
 na X-street. Pieciu zabitych.
 — X-street, gdzie to?
 — Tłumaczy, że jest to tam a tam. Na
 drugim końcu Londynu. Skąd te milicjści zawa-
 se o wszystkim wiedzą, jest bodaj największą
 zagadką, jaka mnie w Anglii niepokoi.

— Stanley, czy czytałeś o „Poland”?
 Prześladowane kościoła katolickiego.
 Kłnę się na Boga, że w mojej obecności
 otworzył dziewczęta gazetę na stronie sporto-
 wej i okiem nie rzucił gdzie indziej. Jak oni
 to robią, że wszystkie wiedzą.

Zajeżdżamy pod bramę fabryki. Tłum
 kobiet i mężczyzn, długi nieprzerwany sznur,
 szybko miały bramę i kontrolę przepustek.
 Przez drugą bramę, naoszczęd otwartą, wjeżdża-
 ją na teren zabudowań fabrycznych auta, mo-
 tocykle i setki rowerów. Rozpoczynamy dzień
 pracy. Jim, Jack i ja. Jesteśmy robotnikami
 w fabryce „jakiejś” broni „gdzieś” w Anglii.
 Co najbardziej uderza w Anglii, to niebły-
 wale wysoki poziom przeciętności. Jim i Jack
 to robotnicy. Są czysti, gołoni i bardzo przy-
 zwolice, po „miastowym” ubraniu. Nie ma żad-
 nej różnicy w wyglądzie zewnętrznym między
 nimi a „inteligentem”. A jednak różnica jest.
 I przepaść jest też olbrzymia pomiędzy gentle-
 manem a man’em. Antagonizm klasowy jest
 może nawet bardziej wyraźnie zarysowany
 niż u nas, ale jest on raczej wewnętrzny niż
 zewnętrzny, raczej duchowy niż materialny.
 Robotnik, rozmawiający z foremanem lub na-
 wet z dyrektorem,

ZDZISŁAW BRONCEL

OD BRYGADY DO ARMII

Wojskowe TKKT

Teatr S.B.S.K. (Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich) był równie samorodnym teatrem żołnierskim, jak przygodne zespoły, przygotowujące w wojsku polskim w Rosji popularne ogniska obozowe. Brygada Karpacka nie posiadała etatów dla żołnierzy-aktorów. Samo zjawisko stałego teatru żołnierskiego wówczas było u nas nowością, na którą patrzano nieufnie; dzięki jednak zrozumieniu gen. Kopańskiego dla potrzeb kulturalnych jego inteligentnych szeregów, dzięki opiece mjr. Młotka, każdy prawie, kto mógł być teatrowi pożyteczny, znalazł się w plutonie ochrony sztabu. Był więc sztab „Karpackiej” chroniony raczej poezją, niż karabinami (choć wszystkie nieodczuwające służby odbywały się normalnie), co jest jednym więcej rysem charakterystycznym brygadowego wojska. Gorszyło ono zawodową kadrę, przyniosło jednak z Tobruku i Gazali i Krzyże Walecznych i Virtuti Militari i — wiersze, zaczynające naszą żołnierską poezję tej wojny.

Chwila wcielenia SBSK do APW oznacza zmianę form organizacyjnych teatru. Dawna „Czołówka Karpacka” rychło kończy swój żywot, aktorzy częściowo odchodzą do grupy filmowej, by pracować w zmarnowanym później filmie o Brygadzie, częściowo zaś stają się członkami nowego teatru Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie.

Jest to już teatr oficjalny, przydzielony do Referatu Propagandy i Oświaty, teatr uznany przez schemat organizacyjny armii — jak gdyby... wojskowe TKKT. Równolegle i w oddziałach, niewywakuowanych jeszcze z Rosji, ćwiczących w upalnym uzbekim stepie, co zdolniejsi amatorzy, co lepsi muzycy, aktorzy zawodowi, trafiają na scenę rewiową, rozwijając się przy Dowództwie.

Istotną tej zmiany polega na tym, że swobodny impuls żołnierza, dążący do stworzenia w obcojęzycznym kraju polskiej rozrywki, polskiej zabawy, zastępuje oddział widowniska zorganizowane, niejako narzucone żołnierskiej publiczności przez odpowiednie komórki oświatowe. Przejście najodolniejszych do zetatyzowanego „zawodowego” teatru przeważnie ogłosiło poszczególne formacje z głównych inicjatorów i wykonawców tak bardzo popularnych i lubianych ognisk obozowych.

Zaletą tego rozwiązania jest stworzenie po raz pierwszy w naszej armii zespołów teatralnych, niebezpieczeństwem — zahamowanie rozwoju widowisk żołnierskich jako świeżej samorodnej formy artystycznej. Jakże zaś były jej walory, mogli łatwo przekonać się wszyscy, którzy oglądali „ognisko”, przygotowane ostatnio dla Naczelnego Wodza na święto Niepodległości. Tym więc większa odpowiedzialność spada na tych, którzy nad obozowe ogniska przełożyli duże rewiowe teatry z bogatą orkiestrą, wyposażone w kostiumy, dekoracje i oczywiście — w lepsze warunki pracy.

Dwa wzory

Powstający polski teatr żołnierski miał obok siebie dwa stosowne wzory: po jednej stronie przedstawienia angielskiej instytucji ENSA, po drugiej — widowiska w armii sowieckiej. Armia Czerwona korzystała stale z gościnnych występów najlepszych teatrów państwowych, obok tego jednak posiadała liczne, bardzo wysoko postawione zespoły śpiewacze i taneczne. Wyraźne talenty aktorów przenoszono do szkół dramatycznych i teatrów, pracujących na zasadach cywilnych, równocześnie jednak w szeregach kładąc duży nacisk na rozwój śpiewu i tańca. Przedstawienia, złożone z tych rodzajów sztuki, w połączeniu z krótkim skeczem czy obrazkiem z życia wojskowego, były ogniwem pośrednim, dawały zawodowej scenie żywy kontakt z wojskiem, stwarzały stały rezerwuariat aktorów, z którego ciągle dopływały nowe siły. Teatr dramatyczny był od święta, chór i balet — na codzień kształcił kulturę artystyczną żołnierza sowieckiego i podtrzymywały jego zamiłowania teatralne.

Nasz teatr poszedł za wzorem angielskim. Niewątpliwie wpłynęła na to słabsza muzykalność naszego żołnierza niż rosyjskiego, ale także na przełożenie czerpania z gotowego ponad wypracowywanie nowej formy teatralnej oddziaływał fakt, że do wojska polskiego w Rosji zgłosiło się wielu aktorów rewiowych o głośnych nazwiskach, wielu muzyków, z których udało się stworzyć efektowne orkiestry jazzowe. Dla przeciętnego żołnierza, pochodzącego z Kresów Wschodnich, jazz był obcy, także i rewia była równie obca jak i teatr dramatyczny, ale dla środowiska oficerskiego zespół dobrego jazzu miał poboczną wartość współczesnej orkiestry tanecznej, nazwiska zaś Krukowskiego czy Lawińskiego zbyt wiele wywoływały wspomnień. Tak tedy rewia podobała się „u dworu” i stała się dominującą postacią teatru żołnierskiego, o czym miałem już sposobność pisać w poprzednim artykule.

Przysłówie o Salomonie

Ten rozpęd rewii nie byłby szkodliwy, gdyby zachowano niezależny odcinek pracy dla sceny dramatycznej, gdyby dbano o należyty rozwój chórów i orkiestr w oddziałach i gdyby wreszcie rewia mogła i umiała spełnić swoje zadania.

O polski teatr dla żołnierza¹⁾

Już w pierwszym teatrze rewiowym, jaki zaczął pracować wśród wojska na terenie Palestyny w r. 1942, nie brak było dobrych aktorów, wytrawnych śpiewaków, doświadczonych i wziętych muzyków (orkiestra Golda²⁾). Zapomniano jednak, że Krukowski nie byłby nigdy Krukowskim bez Hemara, Tuwima i tegoż samego Krukowskiego, występującego tym razem w roli autora. Hemar właśnie w tym czasie wyjechał, Tuwim w Brazylii zaczął pisać „Kwiaty polskie”, a popularny i lubiany pan Kazimierz, choć samemu sobie zawdzięczał niejedną dobrą rolę, nie pretendował nigdy do pisania sztuk, ani do wypełniania pełnego programu. Organizując teatr rewiowy, nie zapewniono właściwych tekstów, nie potrafiono zbliżyć do teatru młodej poezji żołnierskiej, główną zaś opieką nad literacką stroną programu powierzono Anatolowi Sternowi, który opracowywał także literacką stronę scenariusza filmu o Brygadzie Karpackiej. Celowość wyboru tego autora, oparta na jego przedwojennych sukcesach handlowych (większość scenariuszy w filmach polskich) została niedawno w swoisty sposób nagrodzona...

Kiedy po drugiej ewakuacji z Rosji przyjechał zespół Ref-Rena i kiedy już wyeksplotowano wszystkie udane numery z poprzednich programów, teatry wojskowe stanęły przed zupełną pustką programową. Pozbawione troski o propagandę wśród wojska, nie oparte o dojrzały repertuar, o grupę autorów — poprostu nie miały czego przed wojskiem grać. Raz jeszcze powtórzyło się stare przysłowie, że z próżnego i Salomon nie należy.

W tej sytuacji — orkiestra prawie że zatraciła polski charakter, wykonując przeważnie amerykańskie i angielskie kompozycje jazzowe lub na nich wzorowane „uwertury”, a soliści przypominali sobie swe dawne występy, nie gardząc przeróbkami z sowieckich piosenek („Jeszcze rok, jeszcze dwa...”). Dochodziło w niefortunnym improwizacjach do takich dziwolągów, że jedna z wykonawczyń, występując na scenie z piosenką o ochotnicze, podkładała w tekście, iż „twoja dziewczyna pracuje za trzy funty na miesiąc”. Ten niesłychany morał, ten targ pieniężny pokazywany żołnierzowi ze sceny wojskowego teatru dowodził w swym buchalteryjnym ujęciu hasła „Bóg i ojczyzna” prawdziwego bezchołwia programowego. Wreszcie — czołówka t. zw. reprezentacyjna (Wars — Refren), ograwszy wszystko przed całą AP na Wschodzie, poradziła sobie wyjazd na tournée propagandowe po obozach wojsk sprzymierzonych. Zdobycha sukcesy artystyczne, musiała jednak wywołać zastrzeżenia co do rodzaju swej propagandy.

Cenne miejsca

Drugim złem, jakie zaciążyło na pracy teatrów rewiowych, był układ organizacyjny, daleko odbiegający od wzorów pracy teatralnej. Na czele zarówno całej organizacji teatrów, jak i poszczególnych zespołów, stali nie artyści lub reżyserzy, ale szarżę wojskowe. Kierownicy teatrów nosili często wysokie odznaczenia, dające chlubne świadectwa ich męstwa, mieli także zapewne wiele dobrej woli, ale ani jeden z kolejnych artylerzystów czy ułanów, występujących w charakterze „dyrektorów”, nie posiadał znajomości teatru i koniecznego doświadczenia. Przyjęciu tego systemu organizacyjnego przyswiecał pewien specjalny cel: uważano, iż teatry i „niesforne” artystów należy wziąć silną, wojskową ręką — to zaś miało swe osobne przyczyny.

Transporty wojskowe, jakimi armia nasza przybyła z Rosji na Środkowy Wschód, były ściśle określone liczbowo. Każde miejsce w transporcie miało swą doniosłą wagę; gdy nie mogli wyjechać wszyscy, należało dokonywać wyboru, przede wszystkim w stosunku do ludności cywilnej. Wobec wojskowych obowiązywała zasada, iż każdy żołnierz polski zostanie ewakuowany, tym samym zagadnienie wyboru przesunęło się na moment przyjmowania do powstającej armii i mogło grać rolę przy mniejszej lub bardziej liberalnym stosowaniu przepisów o kategoriach zdrowia, zobowiązujących do służby wojskowej.

Dzięki szerokiej interpretacji odpowiednich punktów ustawy w szeregach armii polskiej w Rosji znalazło się wielu uzdolnionych instrumentalistów jazzowych mimo swej słabej kondycji fizycznej. Niewątpliwie przyswiecała tu intencja chronienia i skupienia wszystkich pracowników kulturalnych — obywateli polskich, ale były także i echa mędnego u nas przed wojną „talentyzmu” — kultu dla zdolności, dla talentu, połączonego z zapamiętaniem, czemu ten talent służy i jakie wartości przedstawia obdarzony nim człowiek. Tak też i w tym wypadku pamiętano raczej o uzdolnieniach, niż o ludzkich charakterach. Jeżeli popełniono jakieś błędy, rezultaty są aż nadto widoczne.

Kiedy pisałem na łamach „W Drodze” o

wątpliwej polszczyźnie sztuki, reprezentowanej przez wojskowe czołówki rewiowe, kiedy krytykowałem polski ton międzynarodowy u artystów, którym przyznawano zaszczyt występowania przed Naczelnym Wodzem, kiedy dawałem do zrozumienia, że zaniedbanie tak ważnego w życiu wojskowym miernika, jak miernik charakteru, wpływa demoralizująco na żołnierza, który przecież nie uległ nagle zanikowi pamięci — nie przypuszczałem, że będę mieć — w świetle ostatnich zmian w zespołach muzycznych — aż tak smutną rację.

Polityka kulturalna kontynuowana linii „Morskiego Oka”, „Bandy” i t. p., pomijania sceny dramatycznej, przykrych zaniedbań wobec prawdziwego teatru żołnierskiego, zrezygnowania z szerzenia prawdziwej kultury teatralnej — doznała zasłużonej porażki. Ma to jednak tę dobrą stronę, że usunie może rozdział między hasłami, głoszonymi przez pisma wojskowe, a praktyką działalności teatralnej tegoż samego wydziału, który wydaje te pisma.

Czołówka na froncie

Ci, którzy będą towarzyszyć armii w drodze na front, którzy potrafią wówczas dać żołnierzowi chwilę wytchnienia, dostarczyć rozrywki, pokrzepić humorem, uprzyjemnić rekonwalescencję — napewno zachowają szacunek i pozostaną we wdzięcznym wspomnieniu.

Ale spełnienie tych zadań wymaga przygotowania. Programy w rodzaju „Płynię piosenka”, czy „Uśmiechnij się” nie wytrzymają próby zetknięcia z żołnierzem liniowym. To też z przyjemnością można zanotować zwrot na lepsze w t. zw. Teatrze Polowym (czołówka Krukowskiego), której ostatni program „Serce w furazercie” znalazł dobry kontakt z widownią i zarówno w swej satyrze, jak i prostym sentymencie, odbiega od dotychczasowego szablonu. Jest to w dużej mierze wynik jednego tylko posunięcia personalnego. Przydzielenia do Czołówki Konrada Toma, jako kierownika literackiego. Tom, związany z tradycją najlepszych czasów kabaretu warszawskiego, doświadczony praktyk scenki rewiowej i literackiej, został właściwie wykorzystany. Jeśli nie zawsze sam dał dobry tekst, umiał się poznać na zręcznym tekście kolegi.

Tom jednak, ani Krukowski, nie podobała czołosci, podobnie jak zdolny i pomysłowy Refren nie może dostarczyć wszystkich programów dla drugiej czołówki teatralnej. Zespoły teatralne wymagają poważnej troski o tekst i mogą sprawnie pracować tylko w oparciu o grupę autorską. O to zaś ostatnie kierownictwo teatrów wojskowych nie dba i nigdy nie dbało. Faktem zadziwiającym i znamienym jest, że w chwili, gdy taką popularność ma poezja żołnierska, ani jeden jej tonik nie wyszedł nakładem Wydziału Oświaty i Propagandy, a pewna młoda autorka z racji wydania swych wierszy poza wydawnictwami wojskowymi doznała niejakich przykrości. Zapomniano zupełnie — wśród skarg na brak autorów — o T. Sowińskim, z pod którego pióra (wespół z Hemarem) wyszło kilka doskonałych rewii w czasach Brygady Karpackiej. Tak dobrze zapowiadający się z początku — jeśli wziąć pod uwagę jego młodość — Janusz Wedow, przerzucany jak piłka z przydziału na przydział, był w końcu użyty nieomal do roli maszynisty. Są zdolności, które rozwijają się w każdych warunkach, ale są i takie, które wymagają opieki. Nie było jeszcze teatru, któryby miał zawsze dobry tekst do rozporządzenia, nie dbając o autorów.

Repertuar dramatyczny

Podobne trudności tekstowe już dziś ma Teatr Dramatyczny, który wkrótce stanie przed perspektywą braku repertuaru. Mam jednak poważne wątpliwości, czy poproszono kogokolwiek, kto zna język angielski³⁾ i posiada możliwość sądu, o przeczytanie współczesnych sztuk, związanych z wojną, ukazujących się w tym języku. To samo odnosi się do języka francuskiego. Wątpię także, czy postarano się zapoznać z dwiema sztukami Cwojdzinińskiego, napisanymi i granymi w Ameryce, chociaż korespondencja tam i z powrotem nie zajmuje ponad dwa miesiące.

Teatr Dramatyczny APW, skupiający kilku aktorów ZASP-owych, posiadających reżysera o znanym w Polsce nazwisku, jest wyraźnie dodatnią stroną działalności teatrów wojskowych. Powinien być powstać (a raczej zostać wskrzeszony) oddawna, dobrze, że jest choć dzisiaj. Lepiej późno niż nigdy.

Pierwsza jego premiera („Tu jest Polska” — Naglerowej) miała za sobą zasługę wystawienia sztuki aktualnej, druga — „Damy i Huzary” Fredry, sięgnęła do najlepszego repertuaru.

³⁾ Ostatnim pomysłem jest projekt powierzenia przekładu przeróbki scenicznego „The moon is down” W. Wojteckiemu. Wojtecki ma kwalifikacje aktorskie, a nie literackie, i powinien pracować w teatrze, a nie brać się do przekładu z języka, którego znajomość jest u niego co najmniej — bardzo świeża.

tuaru polskiego i zyskała ogólne uznanie. Trzeci z kolei sztukę — „Dom otwarty” Bauckiego ocenia się pochlebnie ze względu na jej formę teatralną: staranne przygotowanie, żywą, inteligentną reżyserię, udane wykonanie. Tym niemniej przy swych zaletach rozrywkowych, „Dom otwarty” równa się zmarnowaniu sposobności zagrania — w okresie odpoczynkowym w życiu naszego wojska — sztuki z poważniejszego repertuaru. Mówiono o „Mazepie”, wysuwano możliwość wystawienia „Judasa” Rostworowskiego na jednym z amfiteatrów palestyńskich (niezwykle pociągający projekt o wielkiej ambicji); na łamach pisma wojskowego wspomniano o „Sułkowskim”.

„Sułkowski” Żeromskiego wydaje mi się dziś niedostępny dla szerszej publiczności żołnierskiej ze względu na swój trudny tekst, wszelką zaś adaptacją, tekst upraszczającą, odejmię sztuce jej istotną wartość, nie posiada bowiem „Sułkowski” mocnej budowy dramatycznej.

Piękne marzenie o Judaszu nie byłoby chyba wykonalne wobec braku odpowiedniej obsady aktorskiej, tym niemniej zatrzymanie się przed trudnościami repertuaru największego nie powinno prowadzić do rezygnacji także i z repertuaru średniego. Przed półtora rokiem wysuwałem projekt wystawienia w odpowiedniej adaptacji pełnej uroku i młodzieńczej świeżości sztuki francuskiej „Les jours heureux”. Grano ją w Polsce z wielkim sukcesem w teatrze Jaracza w Warszawie p. t. „Szczęśliwe dni” (debiut Janeckiej) oraz w teatrze Kielanowskiego w Wilnie p. t. „Zielone lata” (debiut Szaflarskiej). Temat — pierwsza dziewczęca miłość, której ideałem jest lotnik, spadający dośkonie z nieba w zacisze prowincjonalnego życia, ma dziś wymowę aktualności i byłby bardzo bliski wojsku. Zwłaszcza gdyby w lekkiej przeróbce środowisko francuskie zmienić na szkockie i bohatera sztuki uczynić polskim lotnikiem.

Pomysł ten, przyjęty z zapałem przez wielu aktorów ówczesnego żołnierskiego teatru, nie doczekał się realizacji wobec próżnych poszukiwań za egzemplarzem sztuki. I właśnie przed paru tygodniami dzięki szczęśliwemu przypadkowi tekst znaleziono. Są także pełne możliwości obsadowe. Pozostaje uzyskanie jednego do dwóch odkomenderowań, które — miejmy nadzieję — nie wpłyną na opóźnienie sojusznicznych planów drugiego frontu.

Nie wchodząc pozatem w bliższe dyskusje repertuarowe, trzeba stwierdzić, że 1) jeśli najbliższą premierą Teatru Dramatycznego będą molierowskie „Szelmowata Skapena” błazenada, pokryta wielkim nazwiskiem autora, — rozwój teatru zaznaczy się linią obniżającą; 2) jakkolwiek projekt z większego repertuaru, jak np. „Wieczór Trzech Króli”, trafia na niezmienną odpowiedź reżysera: „Gdyby był Wojtecki...”

Jeżeli obecność Wojteckiego jest istotnie tak dla teatru niezbędna, trudno pojąć, czemu całość stosunku przełożonych do tego aktora cechował brak zdecydowania, czemu w imię korzyści teatru nie zapewniono mu tych warunków pracy, jakich wymagało jego zdrowie i jakich nie mogła mu zabezpieczyć sytuacja starszego strzelca — reżysera. Wojtecki był twórcą, reżyserem i aktorem teatru dramatycznego Brygady Karpackiej. Jest dziś równym dziwolągiem organizacyjnym i jego stopień wojskowy i fakt, że znajduje się poza teatrem, gdzie jest tak wyraźnie potrzebny.

Wprowadzona u nas ostatnio funkcja PRO (Public Relations Officer) pozwoliła już wiele takich anomalii naprawić, miejmy nadzieję, że da sposobność także i do naprawienia reszty.

I to jednak nie wyczerpuje sprawy. Większość bowiem aktorów, pracując na ogół ciężko, nie posiada tych normalnych szans awansu, jakimi dysponuje każdy żołnierz liniowy. Gdy teatr zbliży się do linii walki, artysta będzie zapewne traktowany na równi z każdym innym żołnierzem. Jeśli dotychczas było inaczej, wypływało to po części z dopuszczenia do teatru niezawsze odpowiedniego elementu, ściągającego odium także i na pozostałych. Skoro jednak decydująca chwila wywołała samoczynne oczyszczenie — stosunek do pozostałych — powinien ulec zmianie.

Najgorzej jednak — obok tego — będziemy żyć czołówką wojskową, aby ich sztuka miała zawsze piękny ton polski, aby była związana z literaturą współczesną, oparta o współpracę z autorami i wydobywająca jak najwięcej pożytecznych sił z właściwej, troskliwej i pełnej zrozumienia dla artysty — gospodarki materiałem ludzkim.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelchowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieliznę trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. G u r m a n)

T E L - A V I V , ul. ALLENBY 83

¹⁾ Patrz nr. 17 „W Drodze”, artykuł „O polski teatr dla żołnierza”.

²⁾ Ostatnio zespół ten złożony z Golda, Petersburskiego i Melodysty, rozpadł się. Henryka Golda, który z niego ubył, nie należy mylić z Arturem Goldem, partnerem J. Petersburskiego przed wojną.

HENRYK GOTLIB

Z WĘDRÓWEK MALARZA PO GRECJI*)

Na Akropolu w Atenach

Na progu małego muzeum na Akropolu natykamy się od razu na dwa dziwa: „Grupe Trytona” i „Potwora o trzech ciałach”. Jeśli ktoś zdolny jest do radości na widok piękności formy — stanie wobec tych dwóch fragmentów, które przekazały nam przeszłość, z zapartym oddechem. Z „Grupy Trytona” zachowała się część ciała Heraklesa, który, nogą mocno wparty w ziemię, walczy z ogoniastym Trytonem. Na nogę składają się dwie formy, dwa zasadnicze kształty, ale przeciwstawione z takim majsterstwem i siłą, że na widok tego ułamkowego przejawu ludzkiej woli twórczej czujemy, do jakiego napięcia doznał doprowadzić nas może artysta-plastyk samą wymową form.

„Potwór o trzech ciałach” działa — zdajemy sobie z tego sprawę — już nie tylko czystą swoją formą rzeźbiarską. W tym ustawieniu korpusów i głów, we wzajemnym ich do siebie ustosunkowaniu tyle jest dziwnej jakiejś i nowej, z nikąd nieznaną atmosferą, że mimo wschodnich brodatych głów o wypukłych oczach, mimo syntetycznego modelu i rytmicznej, zatrącającej niemal o schemat, postawie figur, idzie od rzeźby świeżość tak duża i takie poczucie współczesności, jakiego nie doznajemy nigdy wobec dzieł egipskich, asyryjskich lub późno-greckich.

Ale dopiero w dużej sali tego małego muzeum, w sali „Korej”, zdamy sobie jasno sprawę, że dzieło sztuki, niezależnie od tego, w jakim powstałoby czasie, może na nas działać tak, jak gdyby z naszych wyszło rąk, z najserdeczniejszych naszych pragnień i potrzeb wypowiedzenia się. Ta „współczesność” przeszłości dalekiej jest świadectwem, że są w ludziach entuzjazmy i umiłowania wieczne, które łączą istoty, oddalone dziesiątkami wieków — i gromadzą je w jakimś momencie, zawieszonym w dziejach i w przestrzeni — na chwilę mistycznego wspólnego przeżywania, na arcyłudzki sympozjon.

„Koreje” są to rzeźby, przedstawiające młode dziewczęta, na wpół nagie. Zostały one wykonane między r. 540 a 500 przed Chr. Przeznaczenie ich nie jest jasne. Wiadomo tylko, że „Koreje” otaczały jako „damy dworu” Hekatompedon na Akropolis i że tam wydobyto je z ziemi.

Opisać te dzieła niepodobna, bo ani słowo upoetyzowane, ani uczone nie utrafi w istotę tego, co stanowi o niepospolitej piękności i uroku tych figur. Szczegółowe ich oglądnięcie pozwoli nam tylko uświadomić sobie niektóre z elementów, które składają się na nasze doznanie.

Forma „Korej” jest mocna i zdecydowana. Nagie plecy, mocno wystający, szczupły zadek, wysoko umieszczone pełne piersi i wąskie biodra, draperia dość gęsta, osłaniająca ramiona i opadająca cienkimi fałdami na brzuch figury, pozostawiając nieosłonięte tylne części ciała — a przeważnie jedną pierś — mniej zdradzają zmysłowości, niż raczej decyzji nie okrywania kształtów i pokazania ich w bezwstydnym niejako ich pięknie. Głowy kształtne i pełne niebanalnego wdzięku uwiecznione są szale, opadającym z tyłu głowy.

Lata powstania Korej i ostatnich Kurosów stykają się z początkiem działalności Fidiasza. Dzieła, które z pod jego wyszły dłoń, zaginęły wszystkie. Ale styl jego prac znany jest z działalności rzeźbiarskiej jego uczniów, zwłaszcza z sławnego frontonu Parthenonów w British Muzeum. Potęga i poziom wiedzy rzeźbiarskiej tego dzieła się niepospolite. Potężne konwulsje ciała i muskułów z frontonu Parthenonu przywiodą na myśl „Grób Medyceuszów” i „Nie-wolników” Michała Anioła. I tak jak wielkość tego tytana, który wbił ostatni gwóźdź w trumnę Renesansu, jest dla nas dziś oszołamiąca tylko i nie łatwa do opamiętania, — tak samo dzieło epoki fidiaszowej jest dla nas przedmiotem pobożnej kontemplacji przed czymś dalekim, groźnym i obcym.

Na odwrót, Koreje, choć wcześniejsze o wiek cały, przemawiają do nas językiem takim samym, jak dzieła Donatella, „poprzednika” Michała Anioła. Patrząc na Koreje, wspominając będziemy „Dawida” Donatella i jego „Judytę i Holoferesa” z piazza Signoria we Florencji.

Rozmyślenia w Muzeum Narodowym w Atenach

„Dojrzałość” rzeźby greckiej z okresu Peryklesa i dzieł epok późniejszych sprowadza się do tego, że przez anegdotyczne nastawienie rzeźbiarzy tych czasów zmarnowano niejako tradycję wielkiej rzeźby greckiej z okresu archaicznego. To, co niedawno jeszcze uważano za symptomy rozwoju rzeźby greckiej, od archaicznej do klasycznej, a więc: coraz większą swobodę i naturalność w przedstawianiu ruchów głowy i ciała, w układzie draperii i w kompozycji — jest coraz większym i gruntowniejszym zaprzeczaniem dyscypliny rzeźbiarskiej na rzecz opowiadania lub przedstawienia osoby czy sceny — czyli poświęcaniem rzeźby na rzecz anegdoty, przy postępującym coraz bardziej lekceważeniu strony technicznej.

To rozprężenie się rzeźbiarskich zasad i technicznej doskonałości musiało mieć, rozumując przez analogię i przez porównanie z

innymi krajami i okresami sztuki, swoje przyczyny. W moim przekonaniu powodem istotnym tych zmian był nawrót do malarstwa i widzenia malarzkiego w Grecji z końcem V i z początkiem IV wieku. Ten nowy sposób widzenia i przedstawiania świata — sposób malarzski — zdeorganizował myślenie rzeźbiarskie i postawił malarstwo znowu na czele sztuk plastycznych w Grecji. Pogląd, że po okresie archaicznym, który był epoką par excellence rzeźbiarską, Grecja wróciła do swoich wielkich tradycji kreteńsko-mykeńskich i stała się na nowo centrum wielkiego malarstwa — pogląd ten wydać się może historycznie nieuzasadniony, może nawet niedorzeczny.

Wszak wiadomo: Grecja — to rzeźba. Ponadto z greckiego malarstwa freskowego i sztalugowego nie dochowało się dośkonie nie do naszych czasów. Pozostały tylko szkice na wazach, parę portretów z epoki aleksandryjskiej i... rzymskie malarstwo pompejańskie z wieku I po Chr.

Na jakiej zatem zasadzie postawić można tezę, wyżej wypowiedzianą?

Historycy i badacze domoszą nam na podstawie źródeł pisanych o wielkiej popularności i rozkwicie malarstwa w Grecji Peryklesa. Nowsze publikacje akcentują coraz częściej „malarskość” rzeźby greckiej epoki poarchaicznej, a Thassilo von Scheffer w książce „Die Kultur der Griechen” stwierdza: „Nie można zaprzeczyć, że malarstwo było w Helladzie w pewnym sensie dużo popularniejsze i

ków kopiował Picasso (w swojej epoce klasycznej), stanowią nie tylko „materiał historyczny”; podziwiamy je jako dzieła, w których wrażliwość i wiedza składają się na dużą sztukę.

Szczegółowe przyjrzenie się freskom pompejańskim zastanowić musi jeszcze bardziej. W domach prywatnych rzymskich patrycjuszów i kupców, gdzie pod stropem sali jadalnej znajdujemy „martwe natury” o kolorze tak wykwintnym i jedynym zarazem, o formie tak podporządkowanej barwie, że analogii do tego malarstwa przyjdzie nam szukać nie wcześniej, jak u Holendrów XVII w. A czy nie bardziej jeszcze zdumiewające są małe pompejańskie szkice, wymalowane pobieżnie byle gdzie na nadarzącym się wypuszczeniu muru, — z takim majsterstwem, swobodą i swadą, że nie podobna nie przypuszczać istnienia tradycji wielkiego malarstwa w krajach i w czasach, kiedy takie utwory wychodzą z pod ręki malarzy-dekoratorów.

Tak więc malarstwo greckie nie skończyło się w II wieku przed Chr. Rozkwit jego nowy, oryginalny, pełen romantyzmu i nieznaną Wschodowi lekkości i wykwintu, zapoczątkowany w IV wieku przed Chr., nie skończył się również z upadkiem Grecji starożytnej. Rzuconą przez wypadki polityczne jeszcze raz w objęcia Wschodu, Grecja dała światu nowe, bardziej może jeszcze własne formy malarstwa: sztukę bizantyjską.



HENRYK GOTLIB:

Mickiewicz wraca do Krakowa (fragment)

(Obraz wystawiony w londyńskiej Royal Gallery)

bardziej wpływowe, bardziej znane i pożądane aniżeli dzieła rzeźbiarskie, o których zawsze tak myślimy, jak gdyby one właśnie były jedynymi produktami sztuki plastycznej tych czasów...” zaś W. J. Anderson w książce „Architecture of Greece and Rome” pisze: „Wszystkie nowsze odkrycia dowiodły, że sztuka grecka jest w dużo większym mierze produktem okresu kultury mikońskiej, niż to dotąd przyjmowano”. A kultura mikońska, to przede wszystkim malarstwo, wspaniały, na wskroś oryginalna sztuka kolorów. I właśnie malarstwo, a nie rzeźba jest tą dziedziną, w której usamodzielnienie się ludów greckich, ich uniezależnienie od Egiptu, Assyrii i Wschodu, jest najsilniejsze i bodaj czy nie jedyne.

Po malarstwie greckim — od V wieku — pozostały nam ślady i oddźwięki w postaci: 1. waz; 2. portretów z Fajum i 3. malarstwa w Poestum, Herculanium i Pompei. Są to tylko ślady i oddźwięki. Bo wszak wazy — z małymi zapewne wyjątkami — fabrykowane były, zwłaszcza od wieku IV, masowo na eksport i wskutek tego, malowidła, na nich umieszczone, nie wychodziły z pod ręki mistrzów. Również na malarstwo pompejańskie składały się w lwiej części kopie z oryginałów dzieł mistrzów greckich, którymi posługiwali się rzymscy dekoratorzy jako modelami; stąd te reprodukcje, które widzimy na każdym kroku w domach pompejańskich.

Pomimo to przyjrzyjmy się uważnie wazom, zwłaszcza tak zwanym lecytom, małymi naczyniom (związany z kultem zmarłych), przeważnie o jasnych tłach (dziś koloru kości słoniowej), na których znajdujemy wyrysowane figury, z rzuconą miejscami plamą koloru. Mistrzowskie te szkice, które bez skrupu-

— mocnego różowego krążka, oddzielenie różowej plamy twarzy niebieskim „szlakiem” od żółtego tła — wszystkie te formy, zmieniające gruntownie kształty realne na rzecz formy plamy kolorowej, — nie mają w sobie nic z dekoracji, ale są wynalazkami w dziedzinie malarzkiej tak dużej doniosłości, że dziwnym się wydaje, iż dotąd tak mało zwrócono na to uwagi. To przetwarzanie „natury” żywej na naturę materiału, czyli tkaniny, daje także w dwu barwnych (biało-brązowych) tkaninach koptyjskich rezultaty bardzo zastanawiające. Np. plama naświetlonego oka, drugie oko, związane z konturem twarzy w kształt dziwny, nie anatomiczny, z anatomią sprzeczną, a dziwną i nieoczekiwaną tworzącą harmonię i zgranie form. Jest to logika formy, widzianej nie od strony jej realnego, dotykającego kształtu, ale zobaczonej i zanalizowanej jako zjawisko światła i cienia lub jako zjawisko koloru — bardziej konsekwentne i śmiałe niż u Rembrandta lub Bonnarda. Te „deformacje” są nie tylko logiczne, nie tylko nie mają nic wspólnego z dekoracyjnym „ubieraniem” płaszczyzny, ale formy (np. rąk i nóg) wykazują bardzo precyzyjną obserwację żywej natury i świadomą niezależność od form, przekazanych przez sztukę hellenistyczną.

Daphni

Parę kilometrów od Aten pięknie położony, bizantyjski kościół Daphni ma typową, smutną historię cennych zabytków. Z V czy VI wieku po Chr. pozostały tylko resztki otaczających kościół murów, sam zaś kościół, wzniesiony na nowo z początkiem XII w., ozdobiony jest mozaikami, które, według L. Brihiéra stanowią „najpiękniejszy zbiór mozaik, jakie stworzyła sztuka bizantyjska”. Niestety, mozaiki te odnowiono w r. 1893 tak „starannie”, że to, na co dziś patrzymy w opuszczonym kościele, jest nie tylko nieautentyczne, ale wręcz fałszywe. Z dawnych mozaik pozostała tylko ich „kompozycja”, t. j. układ figur i rysunek, o którym też nie wiemy, czy i do jakiego stopnia został uschematyzowany. Doszczętnie zniszczono natomiast przez restaurację istotną treść mozaiki, zmieniając do niepoznania kolor, który stanowił (jak to wiemy z innych mozaik bizantyjskich) punkt wyjścia dla artystów bizantyjskich. Mozaika w Daphni jest — na skutek tego — szara, bezzdźwięczna, miejscami rozbita białą lub czarną linią konturu, rozdzielającą pola żółto-szarych kamyczków, starannie obok siebie ułożonych. Niekiedy tylko partie, zwłaszcza w bocznych nawach, przez sposób ustawienia figur i duże kontrasty światłocienia pozwalają domyślać się świetności i siły ekspresji malarzkiej, które bezpowrotnie zaginęły.

Mont Athos

Wielki tydzień, spędzony na górze Athos — to nie tylko pozostawienie za sobą Grecji i Europy, ale całej współczesnej rzeczywistości.

Zawijamy wieczorem, w Wielki Piątek, do małego portu półwyspu Mont Athos. Na brzegu oczekują nas w półmroku dziwne jakieś sylwety w czarnych habitach, o długich brodach i włosach, opadających na plecy. Na półwyspie, który jest republiką mnichów greckiego obrządku, o własnej administracji i własnej granicy celnej, nie wolno przebywać kobietom i w ogóle istotom rodzaju żeńskiego. Nawet krowy i osły mają tu wstęp zabroniony. Mleko, ser i masło przywożą tu małymi żaglowcami mieszkający wysp okolicznych.

Podróżnicy różnych narodowości, stanowiący grupę 20 niespełna mężczyzn, przysłuchujemy się bezzadnie naradom mnichów i kilku biednie ubranych osobników stanu świeckiego. Wreszcie decyzja. Worki nasze i toboły pakują nam na muły i gromadka rusza pod górę. Ciemna, choć oko wykol, nocą wlecemy się ścieżką, tuż nad morzem, wśród zarośli i dzikich skalnych występów, ustawicznie zmieniając kierunek. I tylko od czasu do czasu widzimy przed sobą chwiejące się latarki, uwieszone na sztychach mułów. Po północy wchodzimy do wsi Kayres. Wieś jest ciemna i milcząca. Stąpamy wśród kamiennych domków z ogromnymi drewnianymi gankami, zwisającymi nad uliczką. Co kilkanaście kroków mijają nas pośpiesznie mnisi z latarkami. Zwabieni dziwnym odgosem, zachodzimy do przestronnego kościoła bizantyjskiego, pełnego czarnych, brodatych mnichów i żółtego światła świec. To pierwsza nasza nocna msza, pierwsza z tych niekończących się nabożeństw, które odbywać się będą przez osiem dni i nocy we wszystkich kościołach i monasterach Mont Athosu.

Rano oglądamy kościół, pełen fresków, o charakterze bizantyjskim, gdzie zapuszczenie, przemalowanie i pobieżne przekolorowanie przechodzą granicę wszystkiego, co w dziedzinie „odrestaurowania” widzieć można było dotąd w Grecji. Opuściliśmy kościół i rozpoczynamy wędrówkę od jednego monasteru do drugiego, ciągle pieszo lub na grzbiecie osła albo muła, bo innej komunikacji ani dróg dla pojazdów jakichkolwiek tu nie ma.

Często, w czasie tych paru dni, świeci słońce nad rudymi basztami z XV lub XVI w., albo też drogi i drożki zamieniają się w ciąg krótkiego czasu na strumyki, po których brodzimy, osadzeni na grzbiecie mułów. Po górach wloką się mgły, morze w dole przestonione jest chmurami, a nasze wierzchołki tak upar-

*) Por. nr. 2 (20) „W Drodze”.

Z wędrówek malarza po Grecji

(Dokończenie ze strony 9)

cie szczypią po drodze liście i kwiaty z przemokłych od deszczu krzewów, tarasujących ścieżkę, że kilkakrotnie nieomal lecimy wraz z nimi w przepaść. Wreszcie wylania się wśród zieleni poszarpana grupa zabudowań — i za chwilę przyjmują nas uprzejmi mnisi i podają likier z anizu i kolację z białej fasoli. O drugiej w nocy budzą nas pośpiesznie i odzianych w ubrania jeszcze przemoknięte prowadzą do kościoła. Msza trwa do 6-tej rano. Skulony, w przydzielonej mi ławie, patrzę przez długie godziny, nawpół przytomny od zaduchu i monotonicznych modlitw, na niezwykle widowisko. Starcy o ślicznych głowach i białych jak śnieg brodach, w otoczeniu złota i jarzących się świec, są jak żywe odtworzenia obrazów Rembrandta. Zaczynam wierzyć, że złoto i bursztyn rembrandtowski ani z patyny nie pochodzą, ani z działania werniksów, ale że jest doskonałym obrazowaniem światła świec, skupionego na ludzkiej twarzy i fragmencie pergaminowej księgi, pod sklepieniem, ginącym w zielonawym mroku.

Dnie i noce następne spędzamy w Wielkiej Ławrze, w Pantokraton, w Vatopedi, w Św. Pantaleimonie. Wszędzie kościoły i zabudowania klasztorne zabezpieczone freskami, wśród których tylko ktoś bardzo uparty szukałby autentyku. Podobno odnaleźć tu można resztki dobrego malarstwa, zwłaszcza pędzla malarzy kreteńskich i katońskich, którzy tutaj przez XVI i XVII wiek kontynuowali styl malarstwa bizantyjskiego. — Gabryel Millet w ślicznie wydany albumie fresków i mozaik Mont Athosu zebrał kolekcję, która może służyć za przewodnika nieomylnego w czasie wędrówek po tym średniowiecznym gnieździe. Ale siły normalnego turysty, nawet bardzo łakomego na dziwa sztuki, przerastają trudności odczytywania tej płataniny. Zresztą nie oddychamy tu zwykłym powietrzem. Opawani jesteśmy nastrojem tego dziwnego świata, bezustannym widokiem brodatych mnichów, bardzo starych lub bardzo młodych, którzy wódcą się nocami po krużgankach jak upiory i całują mury i kolumny, pokryte poniszczonym malowidłem, a miejscami świeżą farbą. W tym otoczeniu rozumiem po raz pierwszy jak nienaturalnym i śmiesznym jest patrzeć na pewnego rodzaju sztuki jako na osobiste wyżywianie się artysty. Malarstwo, pokrywając tu wszystkie mury i ściany, to jak gdyby odbłask dalekiego i zapomnianego przez nas świata, kiedy życie całe oprowadzone było zapatrzeniem się w niebo i niepojętą dziś dla nas mistyką rzeczy niewidzialnych, nadmysłowych i wrogich radośnemu widzeniu ziemi i ludzi.

Pod wieczór, w monasterze Pantokraton, patrzymy przez okno na morze. Jest zieleń i szarpie wciągnięta między skały niewielka kłodzka od brudnych, szarych żaglach. Przy łodzi ludzie palą ognisko i grzeją się. Zbliżamy się do nich. To rybacy z Chios, którzy przywieźli ryby i ser. Są młodzi i mają wesołe, zielone oczy. Patrzają dobrze i mówią językiem śpiewnym. Nie rozumiemy się i śmiejemy się z siebie wszyscy razem, z życzliwością. Zbliża się ku nam młody mnich, o miękkim zaroiście, okalającym mu twarz, niemal kobiecą, i prosi na wieczerzę. Przy stole duże towarzystwo. Dwóch Anglików (wraz z moim towarzyszem: trzech), Belgijczyk, Francuz, paru Niemców i dwóch malarzy Norwegów. Rozmawiamy ożywieni i uradowani spotkaniem się nieznanych a bliskich sobie ludzi. Zamieniamy pośpiesznie nasze wrażenia o Korejach, mówimy o Rembrandcie, Picassie... I bierzemy nas tęsknota za Europą.

Jeszcze jeden dzień i jedna noc w monasterze Simone Petra — zawieszonym kilkunastu swoimi piętrami na ogromnej skale. Z roztargnieniem patrzymy na zatokę, het, głęboko pod nami rozlanego morza i wypatrujemy przez lornetę żagłówek, która ma po nas przyjechać. Właśnie dzwonią na mszę cienkie, bardzo szybkie dzwonki. Pakujemy worki i powoli schodzimy ku morzu.

W parę godzin z dobrym wiatrem dobijamy do Europy i współczesności.

Henryk Gotlib

NOWOŚĆ

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYBÓR POEZJI

1925—1944

Wiersze wybrane z tomów:

„Wiatraki“, 1925, „Dymy nad miastem“, 1926, „Troska i pieśń“, 1932, „Krzyk ostateczny“, 1939, „Bagnet na broń“, 1943.

Stron 134.

Cena: 200 milsów.

Nakładem Wydawnictwa „W D r o d z e”
Jeruzolima.

TEODOR PARNICKI

Chrobry i postówie cesarscy^{*)}

Bolesław pozwolił synowej wyrzucić z siebie wszystko, cokolwiek kotkowało we wzburzonej jej myśli. Zdawał się nie dostrzegać zdumienia i zgorszenia, jakie w miarę słów Ryczezy malować się poczynają na twarzach otaczających go dostojników. Ani na chwilę nie spuszczał z mówiącej niezmienne zimnego i ostrego spojrzenia. Ręce jego spokojnie spoczywały na kolanach. Kilka razy zagryzł wargę i dosyć głośno mlasnął językiem. Dopiero gdy gwałtownym ruchem zrzuciła ze swej głowy czepiec, strój kobiet zamężnych, i ciemnymi potrząsając włosami, co aż na piersi i plecy jej spłynęły, zawołała: „Hauha mi, zem z krwią waszą się złączyła“.

— Bolesław szybko, sprężyste, jak gdyby młodzieńcem był, zerwał na równe nogi.

— Zaraz ją uderzy, — pomyślał Aron i szybko zmrużył oczy.

Nie usłyszał jednak uderzenia ni krzyku, jeno głos opata Antoniego, który głośno zawołał: — Ta kobieta, to twój wróg, Panie Królu. Dawno to wiem.

— Dawno wiesz, Ojcie Opacie? — głos Bolesława kpiąco rozbrzmiewał, wesoła i prawie dobronudna. — Toś dawno już sobie głowę tą myślą zaprószał? Jakże mi szkoda twojej głowy.

Aron otworzył oczy. Bolesław schodził z wzniesienia. Nie spuszczał oczu z Ryczezy, ale nie zimnym już spoglądał na nią wzrokiem, jeno kpiącym i dobronudnym. Z ostatniego zszedłszy stopnia, pochylił się, pogłaskał psy, uśmiechnął się do nich i pocałował wolnym, ciężkim krokiem iść ku Ryczezie. Tym samym ruchem co psie grzbiety poglaskał obnażoną jej głowę. — Podnieś czepiec. — rzekł.

Nachyliła się, podniosła.

— Włóż.

Uskuchała. Ale nie szło jej łatwo. Ręce jej drżały, plątały się we włosach, raz po raz opadały bezsilnie.

— Dopomóż jej, Mieszk, — spokojnie powiedział Bolesław, ponownie mlasnąwszy językiem.

Mieszkowi też trzęsły się ręce. Błady był, bledszy niż Ryczeza.

— Jakżeś mogła tak do Pana Ojca mówić? — szepnął drżącymi, zbieleńskimi wargami.

— Nie szkodzi wcale, że tyle nagadała, — mruknął Bolesław, wydymając policzki i zaraz potem wargi. — Wiem teraz nareszcie dokładnie, co się w tej główce niemądrej od lat uzbierało.

Znowu pogłaskał Ryczezę, tym razem po policzki. Wciąż przyglądał się jej kpiąco a dobronudnie. Ale wyraz oczu jego zupełnie odmienił się, gdy obrócił się ku Antoniemu: znowu zimne odmalowało się w nich skupienie. — Nie jestem kapłanem uczonym, nie znam na pamięć Pisma Najświętszego, nawet przeczytać go nie zdołam, mniemam przecie, że majestat Boży nie tyle żąda od dusz chrześcijańskich ciągłego wczytowania się w Pismo ile zrozumienia należytego słów, w nim zapisanych. Co o tym myślisz, Najdostojniejszy Panie Opacie?

Antoni począł coś cicho wykiadać, ale Bolesław zdawał się nie chcieć go słuchać, choć niby wprost ku niemu kierował pytanie.

— Wiele mądrości znajdzie w Piśmie Najświętszym ten, — ciągnął, — co wmyśla się w jego słowa i nauki, w słowach owych zawarte. Ale wmyśleć się trzeba, wmyśleć — powiedział. Ty oto, Panie Opacie, często zapewne księgi święte czytujesz, ale czytanie owo nie powstrzymało ciebie od okrzyku oskarżającego: „Ta kobieta to wróg“. Czyż nie godziłoby ci się raczej westchnąć nabożnie słowami Pisma: „Panie, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią“?

— Ale tym odpuść, którzy nie wiedzą, co czynią, także rzekł, Panie Królu, — odparł Antoni, silny kładąc nacisk na słowach „nie wiedzą“.

— A ona właśnie i nie wie, co czyni — uśmiechnął się Bolesław. Wzrok jego znów zacieplił się dobronudnością.

Ryczeza postąpiła krok naprzód. Oderwała ręce od czepca, spłotła je kurczowo, silnie przycisnęła do piersi. Otworzyła usta, by znów jakieś gniewne wyrzucić z siebie słowo, ale Bolesław, uderzwszy ją lekko po rękę, nie dał jej dojść do słowa.

— Nie szarp się już, kobiecinko, — powiedział z lekkim zniecierpliwieniem. — Tak jest, jak powiedział. Nie wiesz, co czynisz. Omalonaś, biedaczko głupiutką. Włóżyłaś czepiec, jak przystoi? Usiadźże więc obok Mieszka i bądź cicho. Pogadam z tobą później. A teraz uważaj: nie odzywaj się.

Ostatnie słowa wypowiedział innym zupełnie tonem, niż wszystkie poprzednie. Surowym rozbrzmiewały rozkazem, ostre były i zimne.

Wrócił na swe miejsce. Wchodząc na stopnie, znowu pogłaskał z uśmiechem psy. Dłuższą chwilę przeczeżał pochylony, z rozbawieniem, a zarazem i z rozrównieniem się prawie przyglądając wielkim jęzorom, co lizały mu ręce — wielkim ślepom, co wpatrywały się w niego z oddaniem bezgranicznym.

Gdy siedział już znowu na stole trójnogim, gdy rozparł się, szeroko rozstawiając

nogi i wygodnie opierając się plecami o wielkiego orla, niegdys srebrnego, — skinał głową w kierunku podwoi, przy których stał Saul z Końskiego.

— Wprowadź posiów Pana Cesarza, — rozkazał mu mową słowiańską.

Saul oddał się, by po chwili wprowadzić do komnaty biskupa Dytmarę i margrabiego Hermana. Towarzyszył im jeszcze ktoś nieznaną Aronowi: łańcuch srebrny na szyi i miecz zakrzywiony, jakiego Niemcy nie używają, kazał domyslać się w nim Bolesławowemu raczej wojownika, a może nawet jednego z wodzów, niezwykle bowiem bogaty nosił strój. „Ale czemuż jam go nigdy dotąd nie widział?“, zapytywał siebie Aron w zdumieniu.

Bolesław spokojnie i z uwagą wysłuchiwał przemowy posłów. Brwią nawet nie poruszył, gdy Dytmar w słowach, pełnych szacunku, ale i stanowczości zarazem, wypowiedział formułę wezwania lennika przed sąd Pana Króla i zgromadzenia wszystkich wielmożów saskich. Formułę poprzedziło długie wyliczenie przewin Bolesławowych: przyrzekł towarzyszyć Panu Królowi na koronację cesarską do Rzymu wraz z całą drużyną swoją, — nie poszedł ani drużyny nie posłał; Udalryka czeskiego przeciw majstatowi buntował, a gdy Udalryk ukorzył się przed królem i cesarzem, Bolesław ogniem i żelazem krainę czeską, lenno cesarskie, najechał; Stoigniewa do Lotaryngii wysłał, aby przeciw majstatowi wicherzył; aż w Rzymie dalekim bunt przeciw woli cesarskiej potajemnie wspierał; wezwany przed oblicze cesarskie dla usprawiedliwienia się, nie stawiał się wcale. Czy stawi się teraz, gdy po raz wtóry wzywa go przed siebie pełen urazy słusznej majestat?

— Nie stawię się.

Twarz margrabiego okryła się białością, biskupa Dytmarę — purpurą.

— Nie chciałeś jeszcze bardziej rozgniewać urażonego Pana Króla i Cesarza, ojciec najmilszy, — szepnął margarabia błagalnym prawie głosem.

— Kto nie czuje się winny, nie obawia się stanąć przed obliczem sądu. Jużś wydał wyrok na siebie, Panie Bolesławie, — zimno cedił słowa Dytmar.

— Jeszcze nie, jeszcze nie! — przerwał mu Herman tonem, w którym rozpacz szczerza przeplatała się z resztkami nadziei, — Przecież ty wyruszysz przed oblicze Pana Króla i Cesarza, Ojciec... Napewno wyruszysz, nieprawdaż?

— Nie, synu, — Ale dlaczego?

— Nie chcę.

Aron dostrzegł, że wzrok Bolesława, gdy na Dytmarę spoczywał, zimny był i ostry, wyniosły a wzgardliwy; ledwie jednak przeslizgiwał się na twarz Hermana, ocieplał się i łagodniał.

— Córka twoja, a małżonka moja, Regelinda, nocami nie sypia, zawodzi wciąż zażalenie, o ciebie się boi, ojciec. Straszliwie poraża gniew majestatu, — ona wie o tym.

— Stokroć żałośniej będzie zawodzić, jeżeli i krzyczęć będzie w rozpacz, gdy ugodzą mnie ciosy morderców podstępnych, niech jeno w jakimś grodzie cesarskim stanę.

Dytmar cofnął się o krok. Wysoko uniosł głowę, przed zgromadzeniem całym odsonił odważnie zgrubienie, lewą szczękę jego zniekształcające.

— Śmiesz spotwarzać majestat posadzeniami, że naśle na ciebie morderców podstępnych? Nową, straszną obarczyłeś swe sumienie przewiną.

Bolesław wzruszył lekko ramionami. W zimnych oczach zaigrały iskiereki uśmiechu.

— Za poprzednika twego, biskupa Wiber-ta, opadli mi mordercy podstępni w Merseburgu, Panie Dytmarze. Ledwie cały uszedł.

— Ależ, ojciec, nie posadzasz chyba Pana Króla i Cesarza...

— Hermanie, Hermanie! Czy ty naprawdę myślisz, synu, że to jeno uraza osobista i żądza pomsty kierowała dłońmi owych czterech rycerzy, co ojca twego Ekkeharda, przyjaciela mi wielce miłego, w łóżku nocą w go-spodzie zamordowali?

— A cóż kierowało ich dłońmi, ojciec?

— „Kto kierował ich dłońmi“? zapytał chęć synu? Chyba ten, myślę, kto nigdyby królem i cesarzem nie został, gdyby nie zamordowano Ekkeharda. Byłbyś dziś dziedzicem korony, Hermanie. A teraz z kim przeciw mnie, ojcu małżonki swojej, idziesz? Z tymi, co miecze na rodzica twego wyostrzyli. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj towarzysza twego, Pana Dytmarę. Wszak to jego stryj, Pan Lotar margrabia, Henryka stronnika najzapaleńszy, krzyczał do twego ojca, gdy obiorę go na króla już pewny był prawie: „Cóż to? Nie widzisz, Ekkehardzie, że koła czwartego brakuje w twoim wozie?!“

— Nie przybyliśmy tu po to, aby o Ekkehardzie rozprawić i Lotarze, stryju moim, — sucho powiedział Dytmar. — Raz jeszcze zapytuję ciebie, panie Bolesławie, czy staniesz przed obliczem majestatu?

— Raz jeszcze zapewniam cię, panie Dytmarze, że nie stanę.

— Ojciec, raz jeszcze zaklinam ciebie, — zawołał Herman, — jeśli nie przybędziesz, wszystkich panów saskich, turyńskich i bawarskich zgromadzi Pan Król i Cesarz, by przeciw tobie ruszyli. I ja też będę musiał przeciw tobie pójść, choć z sercem, boleścią ugodzoną. Mituję cię, ojciec, ale lennik cesarski, — pójde.

— Nie miło mi będzie mieć ciebie w polu przeciw sobie, Hermanie, — spokojnie rzekł Bolesław.

— I księżę czeski, Udalryk, przeciw tobie miecz swój obróci.

— Niech obraca.

— I wszyscy książęta lutyccy i obotryccy, Słowianie, pobratymcy twoi, ilu ich tylko jest. Twarz Bolesława ożywiła się.

— Słyszycie, ojcowie wielebni? — zwrócił się do zgromadzonych w komnacie biskupów. — Uważnie słuchaj, panie Hipolicie, arcybiskupie najdostojniejszy. Słuchaj, Tymoteuszu, słuchaj, Aronie. I ty słuchaj, Antoni. Świętobliwy Pan Cesarz Henryk, który namiestnikiem Chrystusowym siebie zowie, pogan obmierzłych przeciw mnie poprowadzi. Bożki swoje przeciw krzyżom waszym poniosą, panowie biskupi i opaci. Cóż, Hermanie, synu miły, — słowa twe cieszą mnie tylko: jeśli demony pogańskie przy tych staną, co przeciw mnie ruszą, — przy mnie stanie Chrystus. A jeżeli boleję z owej przyczyny, to jeno w trosce o zbawienie wieczne tego, którego zowiecie namiestnikiem Chrystusa; potępienia duszy jego bowiem nie pragnę.

Znów zabrał głos Dytmar.

— Mocą Przesławnego, Najdostojniejszego, Najczcigodniejszego Pana Henryka, króla Niemiec, króla Italii i miłego Bogu Cezara Augusta wzywam cię w imię Chrystusowe, Bolesławie, lenniku niewierny, krnąbrny i obłudny: zwróć Panu Królowi i Cesarzowi, rozdawcy jednemu dóbr ziemskich wszelakich, wszystkie te ziemie, którymi obdarzyć zechciał ciebie łaskawie w owej chwili, gdyś w Merseburgu kolano swoje przed nim zgiał, ręce swoje w dłonie jego włożył, służbę mu wierną przyrzekając. Rozkaż: niech drużynicy twoi wszystkie opuszczą grody, przez majestat ci darowane.

Bolesław uśmiechnął się.

— Raczej cudze zabiorę, niż swoje oddam, — rzekł, kiwając stopą i dotykając ją grzbietu psa.

Rozległo się głucho warknięcie.

— Słyszysz, Dytmarze?

— To jedyna twoja odpowiedź?

— Nie, nie jedyna. Każ, Khairanie, osiedlać rumaki dla dostojnych posłów, — zaprowadź ich na bionie, — niech się dobrze przyrzą drużynie, którąś mi z Hiszpanii dalekiej przyprowadził.

Aron drgnął. Wpił się oczyma w bogato odzianą postać z łańcuchem srebrnym na szyi i z zakrzywionym mieczem u boku. Więc to Khairan? Więc owa twarz, wygolona gładko i ziotymi okoloną kędziarami, co aż na ramiona spadają, to ta sama twarz, która ongiś w Kordobie straszliwa Arona wielką brodą o barwie purpury? Więc jednak odszukał Bolesława wódz drużyny słowiańskich kalifa? I nie tylko odszukał, ale i drużynę z sobą przyprowadził?! Lecz którydy? Przecież nie przez ziemie Niemców chyba?

— A więc wojna, ojciec? — niemal łkając jęknął margrabia Herman. Bolesław przechylił się na stole trójnogim. Daleko przed siebie wyciągnął rękę, by dosięgnąć ramienia Hermana. — Odpowiem ci, synu, tymi samymi słowami, com ci już raz przed laty powiedział, przed poprzednią z Panem Henrykiem wojną: „Jeden Chrystus, wszystko wiedzący, wie, jak niechętnie uczynię to, do czego mię zmuszają.“

Dytmar zerwał się z miejsca. Ruszył ku wzniesieniu szybkimi kroczkami, biegiem prawie. Zaciskał pięście, marszczył przekrzywiony nos.

— Kłamiesz, kłamiesz, zawsze kłamiesz! Lubujesz się w wojnie, w mordzie, w połodzie, w zabijaniu mężów, w uprowadzaniu kobiet! Wdychasz do Chrystusa, a w sercu pogan-skich czcisz bogów wojny! Nie po to prowadzisz wojny, boś zmuszony, ale boś łupu krwawego chciwy i niewolników, co na ciebie, synów twych i drużynników twoich pod batami ciężko pracowali...

— Khairanie, wskaż dostojnym panom posłom drogę do podwoi, przed którymi rumaki stoją.

Aron gonął wychodzącego dumnie Dytmarę niespokojnym, wylęknionym prawie spojrzeniem. Malutki ten, pokraczny człowieczek władny jest pomścić się na Bolesławie srożej, straszliwiej, niż ktokolwiek bądź z żyjących na całym okręgu ziemskim. Potężną bowiem rozporządza mocą. Mocą, by ludzie wieków przyszłych mówili o Bolesławie jego, Dytmarę, słowami — widzieli Bolesława jego, Dytmarę, oczyma. Nieodparty jest bowiem czar pięknej łaciny!

— Gotuj się do drogi, Mieszk, — rzekł Bolesław, gdy postówie wyszli. — Nie wpuścisz Henryka do Krosna?

— Nie wpuszczę.

— Słyszysz? — zwrócił się Bolesław do Ryczezy, — chodź teraz ze mną, pogadać chęć z tobą na osobności.

*) Fragment z 15. końcowego rozdziału powieści „Srebrne orły“.

KOMPLEKSY TĘSKNOTY

Jadwiga Czechowicz. „Pozwól mi wrócić”. Rosja 1940 — Palestyna 1943. Wydawnictwo „W Drodze”. Str. 32. Jerozolima, 1943.

Nie dla wszystkich jest ta wojna macocha. Nie jest nią dla młodych polskich poetów. W ogóle dla poetów. Przed wojną poezja, a zwłaszcza u nas, z trudem zdobywała sobie czytelników. Dziś wiersze nie tylko wielu pisze, ale też wielu czyta.

Pierwszym skromnym wyrazem smutków życia uchodzącego był skromny, niejako prywatny tomik Vlastimila Hofmana. Później przez długi czas dużą popularność na Środkowym Wschodzie miały wiersze Wedowa, nie znajdując się natomiast dostatecznie śmiały i bystry wydawca, któryby wydrukował zbiór poezji, powstałych na pustyni libijskiej w Brygadzie Karpackiej. To też w układzie rzeczy zupełnie paradoksalnym — najpierw ukazało się parę zbiorów wierszy, przywiezionych z Rosji, rozrastających się na pustyni irackiej, jak np. tomik Paffa, Karpacka zaś odeszła się dopiero totem Hemera w Anglii. Te luki postarano się zapisać wreszcie wydawnictwo „W Drodze”, wydając T. Sowińskiego „Zwrotnik Wilkołaka” i zapowiadając antologię poezji „Karpackiej” w opracowaniu Jana Bielatojczyka.

W grupie przybyłych z Rosji znaleźli się Władysław Broniewski. Prawdopodobnie najpopularniejszą książką w wojsku polskim na Środkowym Wschodzie jest „Bagnet na broń” Broniewskiego, kto wie czy niezaśluga nie będzie nią w Anglii. Drugim tomikiem „rosyjskim”, wydanym przez „W Drodę”, są wiersze Jadwigi Czechowiczówny „Pozwól mi wrócić”.

Czechowiczówna jest przykładem, ilustrującym tę małą pepinię poetycką, jaką stworzono teraz dla młodych poetów. Ale warunkom, wywołującym przychylną i ułatwiającą dla ludzi piszących, towarzyszą inne, nieodmiennie dziś z tamtymi związane, a często stawiające pod znakiem zapytania pozadokumentarną wartość tak szeroka fala idącej poezji żołnierskiej.

W stosunku bowiem do naszych poetów-żołnierzy ulegamy życiowej sugestii, sugestii sympatii i sugestii naszego emigracyjnego ubóstwa w literaturze. Właściwą miarę oceny może dać dopiero postawienie owych świeżych nazwisk, wyłaniających się z masy żołnierskiej, obok poezji ostatniego dojrzałego pokolenia. Polski przedwojenny, że wymienić się choćby tylko Przybosią, W. Baka, J. Łobodowskiego, Św. Karpińskiego, J. Czechowicza, K. I. Gałczyńskiego, M. Piechala, A. Maliszewskiego, R. Kolonickiego, J. A. Gałuszke, Sztandyngera i innych, — żadne z tych nazwisk dla dzisiejszych umundurowanych debiutantów nie byłoby łatwe do dorównania i przerosnięcia.

Znamienne jest również, że nikt z nich nie wykracza poza drobne wiersze, poza okolicznościowe utwory patriotyczne, poza liryczny notatnik lub sentymentalne odbicie przeszłości. Wydaje się, że ta poezja, żyjąca tylko hasłem powrotu do Polski, później nie będzie w stanie pojąć nowego hasła, gdy pierwszy cel, cel który ją w ogóle zbudził do życia, będzie już osiągnięty. Nie dźwięczy na ogół w tych wierszach nuta społeczna, nowa wizja świata i ojczyzny, obrachunek z narodową przeszłością i wytyczna w kierunku przyszłości. Prawdopodobnie też dlatego, iż tyle rzeczy poeci-żołnierze nie potrafili jeszcze powiedzieć, nie mogą się także zdobyć na formę, wymagającą głębszej treści i szerszego oddechu twórczego. Żaden z wierszy nie sięga wymiarów poematu, żaden z młodych autorów nie dał powieści, rodzaju literackiego, wymagającego znacznie większej dojrzałości i świadomości pracy, niż liryczny zapis nastrojowego wiersza.

Wreszcie i przynajmniej im przywilej młodości zdaje się dość zawodny. Dwaj idący na czele, Sowiński i Kobrzyński, są w wieku, w którym w Polsce mogliby już i powinni mieć na półkach księgarń drugi, czy trzeci swój tom, wojna daje im opóźnienie, a nie intensywność twórczości. Pozostają najmłodsi — do nich należy Jadwiga Czechowiczówna, i jak dotąd ona ich tylko reprezentuje w sąsiedztwie banalnego i bardzo jeszcze nieporadnego tomiku Lucjana Paffa.

„Czechowiczówna urodziła się w Warszawie i chyba stosunkowo niedawno minęła granicę pełnoletności. Bezpośrednio przed wojną była studentką wydziału matematycznego Uniwersytetu J. K. w Lwowie. Stamtąd też została wywieziona w głąb Kazachstanu, gdzie w okolicach Semipalatynska pracowała w prymitywnej cegielni kazachskiej.

Książek nie było. Szukała pociechy w prostych, smutnych wierszach. Powracanie wspomnieniami do Lwowa, do lip ulicy Kurkowej, do jeśienich drzew Strzyńskiego Parku układało się w regularny, tradycyjny czterowiersz, w formę, jaką wyniosła ze szkolnej znajomości literatury. Z tych pierwszych wierszy, często może podobnych do piosenki, nuconej przy rytmicznej pracy, często chyba wyszeptywanych wśród nudnej, bezmyślnej roboty — niewiele pozostało w jej tomiku. Większość utworów, zamieszczonych w „Pozwól mi wrócić”, pisana jest już w Persji, Iraku i Palestynie.

A więc po powrocie do swego świata kulturalnego, odzyskaniu polskiego środowiska, które zresztą wierszy pragnęło i do nich zachęcało. Czechowiczówna zaczęła drukować w hebrajskim „Zewie” poemaciki o miastach polskich, następnie poprzez „Orla Białego” i „Parade”, gdzie zamieszczała wiersze, wybijające swą rytmiką i tematyką mocny krok żołnierski — zyskała popularność i na koniec: wydawcę.

Łatwość wydania książki zbiega się jednak z trudnością życia w otoczeniu ludzi, nie poświęcających się sprawom kultury i literatury. Gdyby Czechowiczówna debiutowała przed wojną w Warszawie, miałaby wokół siebie bibliotekę uniwersytecką, żywy ruch wydawniczy, grupy poetyckie. Uchodźstwo ułatwiło druk, lecz utrudniło pisanie. Kiedy więc dla wierszy Czechowiczówny szuka się oceny, trzeba pamiętać, że jej przedwojenni rówieśnicy w tym właśnie wieku atakowali już buńczucznie swoich poprzedników, toczyli zaciete spory o idee poetyckie, odgrywali się od „Skamandra”, zakładali ugrupowania: „Kwadrygi” (Warszawa), „Linii” (Kraków), „Okolicy poetów” (Poznańskie).

Być może, że bez wojny i zesłania Czechowiczówna, studentka matematyki, nie napisałaby ani jednego wiersza, tym nie mniej dziś, pozbawiona gleby i uprawy literackiej, została zdana zupełnie na samą siebie. To też wiersze jej są

istotnie samorodne, a będąc samorodne, są przede wszystkim bardzo kobiece, jeśli nie należałoby raczej powiedzieć — dziewczęce. W 32-stronicowym tomiku łatwo wysłuchać jednolity, dominujący molowy ton — dla uniknięcia dysonansu trzeba tylko odrzucić trzy wiersze: „Dziękuję”, „W czerwieni i w bieli” oraz „Motor”.

Pierwszy z nich, rozpoczynający się modlitewnym wersem „Dziękuję Ci, Boże za wygnanie...”, jest tylko świadectwem naiwnego cierpienia, wynikiem szkolnej lektury romantycznej, usposabiającej do wyrzeczeń, ofiary i mesjanistycznych nadziei. Prawdopodobnie został napisany jeszcze w początkach wygnania, za które autorka tak popohopnie Bogu dziękuje, zanim mistyczne rojenia nie znikły pod wpływem zetknięcia z realizmem życia.

Prawdziwa Czechowiczówna od świata odchodzi, nie jest ciekawa jego cudów i żyje w swych wierszach wyłącznie wspomnieniami polskiej, a ściślej mówiąc, lwowskiej przeszłości. Wtedy jest najszczęśliwsza, najrzetelniejsza, najprostsza — co stanowi jej główne wartości pisarskie, mimo że potrafi efektywny apel żołnierski, mocne słowa zamykając w mocnej rytmice na wzór wierszy-okrzyków z „Bagnetu na broń”, dać w takim utworze, jak pisane na zamówienie „Parady” — „W czerwieni i w bieli”, gdzie wyraźnie pod słowami autorki słychać muzykę Broniewskiego.

Jeśli jednak pominąć wspomniane trzy wiersze, nie już nam nie przeszkodzi zasłuchiwać się w rytmiczność piosenki, w opadającą żalobnie kadencję trzynastozgłoskowych sonetów, w poszum polskiej wierzby, w pogłos tęsknoty. „Tutaj, na obcej ziemi — pisze Czechowiczówna — w długie wspomnień chwile Jest mi tak bardzo tęskno i tak, tak — jesienią”, nie różni się w tonie od zamieszczonego nieco dalej „Listu z Jerozolimy”. Nie dostrzeżąc Czechowiczówna ani patosu Ziemi Świętej, ani uroku Persji, nie nie zostaje w jej wyobraźni z mijających miast, że świata Wschodu. Aż smutno zadziwiająca jest to zatopienie się w tęsknocie, które — wśród tak wielkiego wstrząsu dziejowego, wśród takiego bogactwa wrażeń, każe autorce, wyrwanej z prowincji polskiej na szeroki świat, powiedzieć:

„Już wszystko, już wszystko odeszło;
A nic nowego nie wzrosło —
Jak mi nie wracać do Ciebie,
Ziemio! Ojczyzno! Wiosno!”

Obce mi nieba i szlaki,
Przez morza i lądy cudze,
Coś mi odziera podstępnie
Cały ich czar ze złudzeń.

(„Wciąż o tym samym”)

To też przyćmiony obraz Lwowa przesłania wszystko. Tęsknota jest już nie uczuciem, ale kompleksem uczuciowym, którego nie podobna przezwyciężyć, dochodzi do granic nerwowego urazu, i, zdaje się, że wiele jest szczeroci w tym nawpół somnambulicznym wyznaniu w chwili black-out'u:

„Tak jest ciemno, tak ciemno,
Tak się pomylić łatwo.
Może to nie Tel-Aviv,
Może pogasy światła

Na Leona Sapiehy,
Którzy tak spokojnie
Idę dzisiaj — jak codzień
Tylko, że jest już wojna.”

(„Jak dawniej”)

Ten wiersz dostatecznie wyraźnie świadczy o pozostaniu w świecie złudzeń, lub przynajmniej o poddaniu się im bez oporu.

Pożytywna strona tej obsesji tęsknoty nie jest określonym obrazem, określona wizją innego życia, jest to tylko pragnienie, by prosto w ogóle można było być, tak bardzo obecne trwałe w jej młodym odczuciu bliskie jest śmierci.

„Ja chcę tak bardzo mało, tak cicho i tak skromnie,

Szczęścia dla moich smutnych 20 lat...”

„Chcę tylko wrócić, wrócić do Lwowa
i Warszawy,
Odzyskać Ukochanych i znów spróbować
żyć!”
(„Wrócić”)

Ten brak siły młodości, która powinna mieć zdolność odprężenia się nawet po najgorszym, jest aż niepokojący, gdy Czechowiczówna przeżywa, iż — nawet gdyby wróciła, nie potrafi w istocie powrócić do dawnego życia:

„Już nie powrócę, taka sama
I już tak samo nam nie będzie.”
(„Za!”)

„Znów będą poranki jasne,
Znów będą wieczory sine —
Obce. Już nigdy — własne.
Nikomu nie będzie szkoda,
Nikt winy w sobie nie skryje,
Cóż warta jest taka młodość?
I serce moje — nieczyje...”

(„Ja wiem”)

Drgający, bolący nerw nakomnie się ujawnia. Wiek lat 20 jest okresem spełnienia młodzińskich, dziewczęcych marzeń. To objawienie światła, jakie wtedy następuje dla kobiety, powinno mieć wszystkie uroki piękna. Zamiast tego przyszła wojna, zesłanie, wygnanie. Tęsknota rozwinęła się aż do bolesnego kompleksu, wyznacza tylko jedno, jedyne miejsce szczęścia — kraj, Lwów, i dlatego też okrzyk — o wiosno! — układa się w ustach Czechowiczówny w wołanie:

„Ziemio! Ojczyzno! Wiosno!”

Związanie wszystkich tematów wyłącznym motywem tęsknoty, powracanie do niej z jakiegokolwiek zacząć tonacji, jak do zasadniczego Amoll, może być niebezpieczne dla dalszego rozwoju poezji. Ten pierwszy tom powinien spełnić rolę oczyszczenia, freudowskiego wyzwolenia kompleksu, aby następne mogły przynieść świeże i własne poetyckie widzenie świata, którego poezja dziś w ogóle nie dostrzega.

Te wiersze formalnie tkwią w tradycyjności, zniżając się nieraz do banalności, gdyż w tym układzie zjawisk — muszą w nim tkwić, chociaż np. „Słowo i czyn” zdradza możliwość formy nawet i wirtuozowskiej. Do najlepszych należą próby sonetów („Mojemu ojcu”), chociaż autorka wpada jeszcze w zawiązanie sonetowej składni i nie umie jej jasno rozwiązać. W ładnym wierszu „Cemu sercu smutno?” pobrzmiewa echo tuwimowskiej „Epistoly sentymentalnej”. Nie jest to zarzutem, gdyż Czechowiczówna raczej jeszcze powinna przejść przez okres wpływów, by nabrać szkoły literackiej. Najlepsze, zdobywające się na oryginalnie odczyty obraz i na niebanalną jego interpretację, są wiersze: „Wierzbą” i „O żołnierzu tułacz”.

Czemu te proste, niewesołe wspomnienia, wiersze, zbliżone częstokroć do zwykłej piosenki, zawiązujące swą popularność i swój urok? Zapewne swej szczeroci, która przydaje wyrazu skromnej formie, zapewne bezpośredniości prawie że naiwnej.

Gdy z jednej strony widzę ich włości czy usterki, z drugiej — nie potrafię odczytać ich smutnawych uroków, oderwać się od słów, narzucających złudzenie lwowskich lip, jabłoni, kasztanów. Kiedy szukam dla Czechowiczówny porównania i zarazem objaśnienia w twórczości innych, przychodzi mi myśl uparcie postać Marceliny Desbordes-Valmore, poetki francuskiej, której Saint-Beuve przyznaje rolę jednego z pierwszych kobiecich piór Francji, mimo że nie związana była z żadną szkołą literacką, ani nawet z życiem literackim i nie może się pochwalić ani bogactwem słownika, ani bogactwem wyobraźni. Pozostaje jej tylko szczeroci dotkniętego kiedyś boleśnie uczucia i ona to zapewniła jej aktorekce drugorzędnych teatrów prowincjonalnych miejsce w jednej z najwspanialszych literatur świata.

Zdzisław Broncel

KONFERENCJA HISTORYKÓW

Nowojorski „Tygodnik Polski” ogłosił w numerze 47. z ub. r. następującą notatkę, pisma K. S., którą przedrukujemy tutaj w całości.

W dniach 29 i 30 października r. b. odbyła się w Nowym Jorku konferencja, poświęcona historii Europy Środkowo-Wschodniej, w której wzięli udział liczni historycy europejscy i amerykańscy, pracujący w tej dziedzinie. Konferencja zorganizowana została staraniem Polskiego Instytutu Naukowego, który wystąpił z inicjatywą reaktywowania Federacji Towarzystw Historycznych Europy Wschodniej, założonej w r. 1927 z inicjatywy historyków polskich, ale nieczynnej od czasu wojny. Inicjatywa ta powitana została przez uczestników konferencji bardzo przychylnie, tak że wznowienia działalności Federacji spodziewać się można w niedalekiej przyszłości.

Podczas konferencji odbyły się trzy zebrania, na których wygłoszono i przedyskutowano 12 referatów. Zebranie inauguracyjne, które odbyło się w pięknej auli Biblioteki Morgana, zgromadziło przeszło 70 osób. Przewodniczył prof. dr. Waldo G. Leland, dyrektor American Council of Learned Societies i zarazem prezes Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych. Obrady zainicjował prezes Polskiego Instytutu Naukowego, b. premier R.P., J. Kucharski, wyjaśniając genezę konferencji oraz podkreślając znaczenie Europy Środkowo-Wschodniej w dziejach nowoczesnych. Z kolei przemówienie powitał wygłoszył przewodniczący, prof. dr. Waldo G. Leland, wyrażając uznanie Instytutowi za zorganizowanie konferencji oraz życząc uczestnikom owocnych obrad. Następnie wygłoszone zostały trzy odczyty: prof. dr. J. Hanc z Czechosłowacji mówił o niektórych błędnych poglądach na temat Europy Środkowo-Wschodniej, prof. dr. S. Harrison Thomson z University of Colorado — o stosunkach kulturalnych Czechosłowacji z Zachodem, zaś prof. dr. Oskar Halecki — o kulturze renesansu w Polsce i na Litwie.

Zebrań następne, które z powodu wcześniejszych zgromadziło mniej liczne audytoria, odbyły się we wspólnym gmachu nowojorskiego Towarzystwa Historycznego. Obradom przewodniczył prof. dr. S. Harrison Thomson, redaktor czasopisma „Journal of Central European Affairs”. Zebranie poświęcone było zagadnieniom historiografii. Prof. dr. O. Odložilnik z Uniwersytetu Praskiego omawiał rozwój historiografii czeskiej, prof. dr. M. Czubaty z Grecko-Katolickiej Aka-

demii Teologicznej we Lwowie — rozwój historiografii ukraińskiej, zaś pan A. P. Coleman, lektor Uniwersytetu Columbia, — problemy historiografii polskiej. Ponadto prof. dr. J. Roucek z Hofstra College wygłosił interesujący referat na temat błędnych poglądów na Europę Środkowo-Wschodnią, spotykanych w historiografii anglosaskiej.

Zebrań ostatnich, które zgromadziło ponad 50 osób, odbyło się w siedzibie Polskiego Instytutu Naukowego. Przewodniczył prof. dr. Otokar Odložilnik, wiceprezes Federacji Towarzystw Historycznych Europy Wschodniej. Wygłoszone zostały następujące referaty: p. K. R. Pusta, b. minister spraw zagranicznych Estonii, mówił o odrodzeniu narodowym krajów bałtyckich w dwudziestym wieku, ks. T. Chase — o stosunkach Litwy z Rosją i Rosją, p. B. Bogdanovich — o zagadnieniach kulturalnych w dziejach Jugosławii, prof. dr. P. Charanis z Rutgers University — o źródłach greckich do historii XIV w., wreszcie prof. dr. H. Gregoire z Uniwersytetu w Brukseli — o zagadnieniu ciągłości w dziejach Rumunii. Po referatach odbyła się ciekawa dyskusja.

Wszystkie zebrania zakończyły się na wielki sukces konferencji, zapewniając jej bogaty plon naukowy, który zebrany będzie w specjalnej książce pamiątkowej, przygotowanej do druku przez Polski Instytut Naukowy. Gruntownie opracowane były wykłady profesorów Thomsona, Odložilnika, Czubatego i Haleckiego. Do zagadnień współczesnych nawiązały w swoich odczytach profesorki Hanc i Roucek. Wielkie zainteresowanie wśród słuchaczy wywołały profesorowie Gregoire i Charanis, mimo że tematy ich referatów były bardzo specjalne. Nader interesujące również były odczyty p. Coleman, min. Pusty i p. Bogdanovicha.

Wszystkie zebrania cechowała atmosfera obiektywizmu naukowego, zainteresowania oraz przyjaznej współpracy. Jedynym grzytem, i to najzupełniej niespodziewanym, był referat przedstawiciela Litwinów amerykańskich, ks. T. Chase, nasuwający poważne zastrzeżenia tak z punktu widzenia nauki, jak i z punktu widzenia zwykłej kurtuazji międzynarodowej. Bardzo mile natomiast tak dla gospodarzy, jak i dla wszystkich obecnych Polaków, były serdeczne słowa pod adresem Polski i nauki polskiej, wypowiedziane przez naszych wypróbowanych przyjaciół: panią Coleman i profesora Gregoire.

Nowymiesięcznik francuski

W Algierze zaczął wychodzić nowy miesięcznik polityczny „Renaissance”. Niedawno otrzymaliśmy pierwszy — listopadowy — zeszyt pisma. Jest on bardzo interesujący. Dla każdego, kto będzie chciał zorientować się w klimacie duchowym obozu de Gaulle'a, pismo to będzie pierwszorzędnym przewodnikiem. Przynosi też w szeroko rozbudowanym dziale kroniki obfite informacje faktyczne. Warto więc przyrzeć mu się bliżej.

Zeszyt otwierają cztery artykuły programowe. Pierwszy z nich wyszedł z pod pióra redaktora pisma, profesora prawa uniwersytetu w Algierze, P. E. Viard'a. Jego temat — „Próba przegrupowania idei politycznych”. Temat jest abstrakcyjny, artykuł w ujęciu — wcale scholastyczny, stąd jego tendencje polityczne trzeba raczej wyławiać, tym niemniej tendencja ta jest, i to bardzo ciekawa. Położenie akcentu przy klasyfikacji idei politycznych na zagadnienie suwerena, z tym że głównym atrybutem tego suwerena są akty woli, mówienie o Wodzu Państwa (le Chef de l'Etat — z obowiązkiem dużym C i dużym E), przekasy pod adresem Trzeciej Republiki, wreszcie takie zdanie jak „Wódz Państwa jutra wydaje się być wyznaczony” — wszystko to ma swoją bardzo charakterystyczną wymowę polityczną. Dałoby się to zgrubszą scharakteryzować jako cesaryzm, połączony z tendencjami do radykalnych reform społecznych i z wielkim krytycyzmem pod adresem instytucji Trzeciej Republiki.

Dalsze artykuły programowe poświęcone są zagadnieniom: reformy armii (proponując stworzenia niewielkiej armii fachowej), nowej polityki kolonialnej (artykuł gubernatora Lapie, — domaga się przekształcenia Imperium w federację kolonii) i problemom wychowawczym. Wszędzie tutaj robi się propagandę Wodźstwa, generalowi de Gaulle: cytuje się go, podkreśla się trafność i wyjątkowość jego przedwojennych diagnoz w sprawach wojskowych. Raz propaganda ta przybiera formy poprostu niesmaczne, wtedy mianowicie, kiedy tenże P. E. Viard w kronice, poświęconej historii Komitetu Francuskiego, jako szczególnie doniosłe wydarzenie polityczne podnosi złożenie przez gen. de Gaulle'a wieńca na algierskim Pomniku ku Czi Zmarłym i owacje, jakich był przy tej okazji przedmiotem ze strony ludności miejscowej. Kronika ta zresztą jest bardzo ciekawa: informuje i o wewnętrznych rozgrywkach w łonie Komitetu, i o stosunkach między Komitetem a Sprzymierzonymi. W obu tych zagadnieniach zgrubszą orientowaliśmy się na podstawie lektury gazet, teraz jednak poznajemy je w oparciu o dużo bogatszy materiał faktów.

W ogóle dział kroniki pisma przedstawia się bogato. De Gignoux mówi o „Życiu francuskim w krajach Lewantu” (ściślej mówiąc: w Syrii i na Libanie); Pollet omawia książkę Cole'a „Europa, Rosja i przyszłość”, wysuwając przy tej okazji tezę, że rola polityczna przyszłej Francji polegać będzie na pośredniczeniu między Wielką Brytanią a ZSRR. Znajdujemy tu kronikę niemiecką i bałkańską oraz trochę zbyt sumaryczny przegląd broszur politycznych Francji Walczącej.

Najciekawszy jednak jest tu przegląd periodyków francuskich. Spośród londyńskich omówiono nieperiodyczne wydawnictwo dwujęzyczne, anglofrancuskie, „Solidarity” i miesięcznik „Volontaire pour la Cité Chrétienne”, spośród amerykańskich — poważny kwartalnik sfer uniwersyteckich „Renaissance”, spośród kairskich — tygodnik „La Marseillaise”, spośród berlińskich — tygodnik „En Route”, a spośród algierskich — tygodnik „Combat”, który — o ile można wnioskować z omówienia — jest analogiczny w typie do kairskiej „La Marseillaise”; oba pisma mają zresztą szereg wspólnych współpracowników. (Warto jeszcze nawiasowo zanaczyć, że obok wyliczonych tu, de Gaulle'istowskich pism wychodzi jeszcze w Stanach Zjednoczonych niezależny od Komitetu Francuskiego tygodnik „La Voix de la Victoire”, redagowany przez dwóch wybitnych, choć nie zawsze nam przychylnych dziennikarzy francuskich: Pertinaxa i panią Tabouisa. Artykuły na tematy polityczne ogłasza tam Lechoń).

Warto tu podkreślić dwa momenty. Niedostępnym nam miesięcznik „Volontaire pour la Cité Chrétienne” jest szermierzem federacji europejskiej. Federacji, obejmującej całą Europę, nie tylko Europę Zachodnią. Zacytowano z pisma zdania, iż federacja wyłącznie zachodnia byłaby „rozwiązaniem niebezpiecznym”, oraz iż zakłada ona „rezygnację w Europie Środkowej o oznaczałoby w gruncie rzeczy triumf niemieckiej siły i rozproszenia Europy”. Omawiając „La Marseillaise”, obszernie streszczono rusofilski i antypolski artykuł Gorse'a „ZSRR i problem niemiecki”, ogłoszony w numerze tygodnika z dn. 15 sierpnia ub. r. Artykuł ten spotkał się z ostrą ripostą naszego Centrum Informacji. Została ona scharakteryzowana w piśmie w sposób następujący: „Pewne szczegółowe uwagi krytyczne są, być może, słuszne. Ale całość argumentacji, zwłaszcza wtedy, kiedy stara się dowiedzieć, iż rząd polski był naprawdę demokratyczny, wydaje się dość słaba, a nawet fałszywa”. Tym niemniej zacytowano z odpowiedzi następujący ustęp:

„Polska będzie miała niewątpliwie oczy zwrócone na Zachód, jak zawsze w ciągu wieków, i oprze się o Odrę, co jest jej prawem historycznym i co jest dla niej koniecznością życiową. Ale równocześnie skieruje ona swój wzrok także i na Wschód i będzie troszczyła się o swoje prowincje wschodnie tak samo jak i o zachodnie, albowiem wszystkie jej ziemie są jej drogie tak samo, jak Alzacja i Lotaryngia Francji, i co więcej, są one konieczne dla jej istnienia państwowego”.

Znacznym wreszcie, że numer ma — chudy — dział literacki, że przynosi ciekawy i dobrze napisany artykuł de Tintagela „Odblaski zwycięstwa” i że obszernie streszczono w nim głośną książkę Lippmanna o polityce Stanów Zjednoczonych.

ph.

NOWOŚĆ!
MARIAN GORECKI
STRATEGIA ZWYCIĘSTWA
SZKICE POLITYCZNE
Cena: 200 milsów
Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”

Z P R A S Y O B C E J

Czy kordon sanitarny?

Rosjanie sprzeciwiają się koncepcji federacji środkowo-europejskiej, uważając, że jest to polityka „kordonu sanitarnego”, wrogiemu Rosji. Wskazuje ten argument katolicka „The Weekly Review” w artykule wstępnym numeru z dnia 4 listopada w następujący sposób:

„Jeśli Rosja Sowiecka była małym, słabym narodem i proponowano stworzenie potężnej federacji, która miałaby ją odciąć od reszty Europy, można używać terminu „kordon sanitarny” jako obrazowego sposobu opisu sytuacji. Ale fakty są, rzecz prosta, całkiem inne. Nawet gdyby ten olbrzymi subkontynent, obejmujący Rosję, Syberię i różne nabytki porewolucyjne, takie jak Gruzja, był oddzielony od Europy przez mocarstwo, które mogłoby być wrogiem, pozycja tego subkontynentu nie byłaby w sposób istotny różna od tej, jaka istniała w ciągu ostatnich 25 lat, i z pewnością nie byłaby żadnym zagrożeniem jego bezpieczeństwa. Ale tego rodzaju przypuszczenie jest tak nieprawdopodobne, że można je pominąć. Przeciwnie, federacja środkowo-europejska prawie że napewno wzmocniłaby Sowietów, tworząc u ich zachodnich granic czynnik równowagi wobec siły mocarstw zachodnich. Co więcej, jeśli ZSRR szczerze życzy sobie współpracy z tymi ostatnimi w zapewnieniu pokoju i dobrobytu w Europie, przyczyni się do wszelkich możliwych zatargów jeszcze bardziej maleją.”

„Tak więc obraz, jaki wywołują słowa „kordon sanitarny”, zupełnie mijają się z faktami”.

Jeśli wylączymy koncepcję federacji, — pisze autor dalej, — pozostają dwie inne możliwości: albo utrzymanie, tak jak przed wojną, szeregu, najczęściej małych, suwerennych państw, albo też pochłonięcie tych państw przez któregoś z potężnych sąsiadów. Pierwsza z tych alternatyw nie potrafi ustabilizować stosunków w Europie Środkowej. Oznacza ona bowiem kontynuację dawnych rywalizacji i sporów między państwami. Nie znajduje ona lekarstwa dla przewyciężenia gospodarczych trudności tych państw. Czyni je łatwym celem agresji, co jest niebezpieczne dla pokoju europejskiego.

„Druga alternatywa byłaby już zupełnie zła. Znacząco by to pójść przeciw głoszonemu przez nas celom wojennym; znacząco by to — stworzyć wśród narodów niezadowolonych i napięć; znacząco by to — umocnienie polityki siły jako kryterium w skali światowej; słowem, byłoby to grubo niesprawiedliwe, skrajnie niehonorowe i fatalne dla wolności”.

Amerykańskie cele wojenne

Na temat amerykańskich celów wojny pisze w październikowym zeszycie nowojorskiego kwartalnika „Foreign Affairs” redaktor pisma, Hamilton Fish Armstrong:

„Stany Zjednoczone będą bezpieczne i szanowane, jeśli nie kochane, wtedy gdy cała strefa ich interesów będzie się pokrywała ze strefą ich siły i gdy będą stale gotowe do użycia tej siły. Ale samymi chęciami nie dokona się tego i przyjęcie przez nas ostrożnej polityki wycofywania naszych zobowiązań, tak aby nie wykraczały poza granice strefy naszej bezpośredniej siły, nie obroni tych z naszych interesów, które znajdują się poza tą strefą. A właśnie poza tą strefą zdolność przewidziania i zręczność w prowadzeniu naszych stosunków zagranicznych są najpotrzebniejsze. Albowiem w tej właśnie sferze powstają konflikty, które często zdają się nie mieć związku z naszymi interesami i które mogą przerodzić się w wojny, w jakich będziemy zmuszeni wbrew naszej woli do interwencji. Autor tych słów jest przekonany, że nie ma na całym świecie granic dla tej zewnętrznej strefy.”

„Jeśli teza ta jest prawdziwa, to koniecznie musimy się urządzić w ten sposób, aby wpływy nasze czuły się w wielu rejonach, w których nie jesteśmy zdolni do rozwinięcia naszej siły bezpośredniej. Dla tego celu musimy wziąć udział w systemie dawania i brania, nazwanym przez prez. Benesa „życie i pomagaj do życia” nie tylko na ograniczonej podstawie, obliczonej na ograniczoną skalę naszej indywidualnej siły, ale na podstawie uniwersalnej, obliczonej na nieograniczoną skalę naszych narodowych interesów.”

Z kim będziemy mieli do czynienia? Czy z narodami, które żyją w naszym sąsiedztwie, i jako przywódcę ich bloku z innymi blokami? Czy z jednym, dwoma, trzema wielkimi mocarstwami, które na zmianę będą wykonywały kontrolę nad wielkimi obszarami świata, tak że wspólnie możemy go kontrolować cały? Albo też z wszystkimi podobnie jak my myślicy państwami, im więcej ich jest, tym lepiej? Autor tych słów jest zdania, że na dalszy dystans Stany Zjednoczone będą silniejsze i bezpieczniejsze w większej grupie państw niż w bloku o ograniczonej ilości aliantów. Wierzy on, że powszechne przyjęcie powszechnie obowiązujących zasad stosunków międzynarodowych, z powszechnymi, chociaż ustupionymi, odpowiedzialnościami, stwarza jedyną możliwą podstawę dla zorganizowania światowego pokoju na warunkach, stworzonych przez rozwój nauki, komunikacji i oświaty, i że tylko pokój na skalę światową jest dobrym rozwiązaniem dla światowego mocarstwa jakim są Stany Zjednoczone”.

Perspektywy wyborów prezydenckich w Ameryce

Na temat obecnych nastrojów w polityce amerykańskiej, a w szczególności perspektyw wyborów prezydenckich, pisze Reinhold Niebuhr w numerze z dn. 17 grudnia ub. r. londyńskiego tygodnika „The Spectator”.

Autor na wstępie podkreśla trudności, jakie system polityczny Stanów Zjednoczonych stwarza amerykańskiej polityce zagranicznej. System ten, — źródło stałych konfliktów między prezydentem a Kongresem, — wymaga prezydenta, któryby był silną indywidualnością i któryby równocześnie umiał manewrować: „Nawet Roosevelt miał momenty zupełnego zaambasowania. Nie dawno musiał się rozstać z podsekretarzem stanu, p. Sumner Wellesem, ponieważ południowy blok jego własnej partii, mocno oddany p. Cordellowi Hullowi, nie chciał więcej słyszeć o p. Wellesie. Fakty, iż p. Welles znalazł się na problemach międzynarodowych, z jakimi Ameryka ma do czynienia, lepiej od kogokolwiek innego w Departamencie Stanu, oraz że był ponadto bliskim przyjacielem osobistym Prezydenta, nie miały znaczenia.

Żadne starania Prezydenta nie mogły ocalić p. Wellesa”.

Autor pisze następnie na temat perspektyw wyborów prezydenckich:

„Warto zauważyć, iż mimo trudności, na jakie w ciągu ostatnich lat natrafiał Prezydent w Kongresie, jest obecnie rzeczą zupełnie oczywistą, że ci członkowie jego własnej partii, którzy sprzeciwiali mu się w Kongresie, nie będą się sprzeciwiali jego wyborowi po raz czwarty. Prezydencka kampania wyborcza toczy się dokoła polityki i osobistości kandydata i członkowie Kongresu, którzy wczoraj byli zazdrośni o prerogatywy władzy wykonawczej, jutro zaczną się troszczyć o to, aby pod patronatem tegoż Prezydenta wypłynąć na stanowiska. Jest rzeczą niemal że pewną, że Roosevelt będzie kandydował po raz czwarty. O nikim innym nie mówi się na serio. Partia demokratyczna wyraźnie dzieli się na południowych konserwatystów oraz masy farmerów i robotników. Masy te dostarczą głosów, które przyniosły sukces wyborczy. Nie można postawić innej kandydatury, dostatecznie liberalnej na to, aby głosy te utrzymać. A nikt inny, któryby na tyle konserwatywny, aby można było postawić jego kandydaturę, nie mógłby być wybrany. Ponowne postawienie kandydatury Roosevelta jest wobec tego niemal że pewnym wnioskiem, mimo iż związki zawodowe zaczęły się ostatnio wahać w swym poparciu. Przez moment zdawało się, iż im bardziej Roosevelt będzie siedział w swej polityce na prawo, tym mocniej związki zawodowe będą go popierały. Ale w ostatnich miesiącach związki zawodowe przestały domagać się kandydatury Roosevelta po raz czwarty. Zjednoczeni Robotnicy Automobilow, a ostatnio także i Kongres Organizacji Przemysłowej (C.I.O.), oświadczyli, iż nie chcą się z góry wiązać. Chcą się

upewnić, czy naprawdę zażegnano niebezpieczeństwo inflacji i czy naprawdę przyjęto należyta politykę podatkową.

Mimo tych fluktuacji jest rzeczą wątpliwą, czy związki zawodowe będą mogły zapewnić sobie lepsze możliwości. Każdy prawdopodobny kandydat republikański, z wyjątkiem p. Willkiego, rzuci związki zawodowe na stronę Roosevelta, bez względu na dwuznaczności — z robotniczego punktu widzenia — jego polityki wewnętrznej czy zagranicznej. Nawet p. Willkie, który zdaje się teraz przedstawiać poskonalą możliwość zapewnienia republikańskim wyborów, będzie się cieszył poparciem tylko nielicznych związków Amerykańskiej Federacji Pracy (A.F.L.), a prawdopodobnie nie będzie miał żadnego poparcia w związkach Kongresu Organizacji Przemysłowej (C.I.O.). Może on pójść na politykę zagraniczną związków zawodowych. Ale żadne z jego wysiłków, zmierzających do przywrócenia blasku republikańskiemu liberalizmowi typu centralno-zachodniego, nie usuną obaw związków zawodowych, iż jego polityka wewnętrzna będzie wroga ich interesom”.

Wyznania „ucziwego” quislinga

Londyński „The Economist” przynosi w numerze z dn. 18 grudnia ub. r. artykuł na temat belgijskiego kolaborantysty Raymonda de Beckera. De Becker był redaktorem dużego dziennika brukselskiego „Le Soir”, który poszedł na współpracę z Niemcami. W październiku musiał ustąpić ze swego stanowiska, prawdopodobnie wskutek starć z Niemcami. Ustupując, ogłosił bardzo ciekawe wyznania.

De Becker jest quislingiem specjalnego autorytetu. Jest to quisling „ucziwy”, tego typu

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Front rosyjski — to bardzo osobliwy front. Jego południowy odcinek przebiega w tej chwili zupełnie fantastycznie: prawie skrzydło wojsk rosyjskich tego frontu operuje już w Polsce, lewe tymczasem stara się zdobyć bramę na Kaukaz, Kercz, leżącą bez mała na przedpolach Azji. Dodajmy, że linia frontu biegnie tu zygzakami: Rosjanie w kilku miejscach zrobili wyłomy w pozycjach niemieckich, wyłomy te jednak udało się Niemcom zlokalizować. Mimo to rzut oka na mapę wystarczy, aby przekonać czytelnika, jak wielkie niebezpieczeństwo odcięcie grozi tu wojskom niemieckim, zawięzanie broniących swych pozycji w łuku Dniepru. Niemcy trzymają się tu taktyki zupełnie odwrotnej od tej, jaką uprawiali Rosjanie w r. 1941. Wtedy Rosjanie uważali za rzecz najważniejszą uchronienie swoich armii od zniszczenia; dla ich ocalenia oddawali rozległe tereny atakującym Niemcom. Teraz Niemcy zawięzają bronią swych pozycji w łuku Dniepru, mimo że obrona ta w każdej chwili grozi odcięciem i zniszczeniem tym kilkudziesięciu dywizjom, które się tam znajdują. Ale bo też Rosjanie mieli, praktycznie rzecz biorąc, nieograniczone własne zaplecze, podczas gdy wojska niemieckie w łuku Dniepru bronią dostępu na teren specjalnie drażliwy i dla Niemców niebezpieczny: na Balkany.

Drakońskie wyroki na hr. Ciano i towarzyszy miały co prawda służyć dla quislingów bałkańskich jako memento, ostrzegające o ryzyku zmiany frontu, ale rzecz jest nie tylko w quislingach. Wszystkie doniesienia prasowe i korespondencje neutralne z Bałkanów zgodnie donoszą, że panowanie niemieckie oparte tam jest na najmniej trwałych podstawach i że najłatwiej mogłoby się tam ono zalać od wewnątrz. Zresztą, co tu mówić o korespondencjach, — na Bałkanach przecież, w Jugosławii, toczą się operacje wojskowe na tak szeroka skalę, iż wiążą kilkanaście dywizji niemieckich. Gdyby wojskom rosyjskim udało się przebić do Rumunii, niemieckie dywizje na Bałkanach łatwo mogłyby się znaleźć w kleszczach. Niemcy pamiętają zresztą dobrze, że w r. 1918 załamanie się ich frontu przyszło właśnie z Bałkanów.

Na tym południowym odcinku frontu nastąpiło zresztą w ostatnich tygodniach pewne ustabilizowanie pozycji i nie wydaje się, aby na najbliższe tygodnie Niemcom groziła tutaj taka ewentualność (jeśli cokolwiek można przewidzieć w tej osobliwej wojnie). Największe sukcesy odnosił Rosjanie ostatnio na froncie północnym. Na ilość zajętego terytorium nie przedstawiają się one co prawda imponująco, tym niemniej zdobycze, jakie tu Rosjanie ostatnio osiągnęli, są poważne: przełamano silne pozycje, które Niemcy fortyfikowali od dwóch lat; odsunięto od Leningradu niebezpieczeństwo ataków niemieckich, w miarę postępów sowieckich wzmacnia się zagrożenie Finlandii. Sami zresztą Niemcy, ustami gen. Dietmara, ostrzegali przed niedocenianiem ofensywy leningradzkiej, przed traktowaniem jej jako drugorzędnej i odciągającej operacji tylko.

Ofensywa zimowa sowiecka trwa już miesiąc okaze. Jeśli na nią spojrzeć jako na całość, to zdaje się, że ma ona bardzo osobliwy przebieg: oto co pewien czas ożywia się jakiś odcinek frontu. Rosjanie czynią na tym odcinku pewne postępy, wymienia się już wcale odległe miejscowości jako kierunki natarć sowieckich armii, poczem nagle, z dnia na dzień, odcinek ten znika z komunikatów wojennych, a zamiast niego wyrusza się inny, na którym znowu to samo powtarza się da capo. Małuczko, a można mieć wątpliwości: front czy pułap przechodni.

Trudno przyjąć, aby tego rodzaju operacje mogły grozić Niemcom bezpośrednią katastrofą. Zato muszą one Niemców poważnie nużyć, nie dając wytchnienia, a co najważniejsze, stale wiążą na całej długości frontu rosyjskiego ogromne masy wojsk niemieckich, i to wiążą tym skuteczniej, że front ten się ciągle wydłuża.

Sytuacja zaś na froncie włoskim świadczy o tym, że sprawa rezerw weszła dziś w stadium krytyczne dla Niemców. Wojska Sprzymierzonych, które wyładowały pod Nettuno, nie natrafiały na żaden zorganizowany opór niemiecki, co więcej, w ciągu pierwszych dni po wyładowaniu Niemcom nie udało się rzucić na ten nowy odcinek frontu żadnych poważniejszych sił. Operację pod Nettuno trzeba uznać za wyjątkowo szczęśliwą dla Sprzymierzonych: groźba odcięcia znajdujących się na dobrez ufortyfikowanych pozycjach wojsk niemieckich, walczących z Piątą Armią, bezpośred-

co w Belgii znany teoretyk socjalizmu De Man, we Francji — Pétain, a w Czechosłowacji Hacha czy Tisso. Z góry patrzy on na belgijskich rexistów, których uważa za godnych pogardy najemników.

De Becker przeszedł w r. 1940 na stronę niemiecką, był bowiem pewien, że Niemcy wygrają. Píše on w swoich wyznaniach:

„Z belgijskiego punktu widzenia jest, oczywiście, rzeczą naturalną, że niektórzy Belgowie powinni postawić na kartę niemiecką w wypadku niemieckiego zwycięstwa, a że inni powinni postawić na kartę anglosaską, na wypadek anglosaskiego zwycięstwa. Wszyscy oni są patriotami tak długo, jak długo współpracują dla dobra swego narodu i stale zachowują moralną oraz finansową niezależność”.

„Filozofia naginania się do okoliczności — komentuje ten ustęp autor artykułu — rzadko kiedy została wyrażona z tak rozbijającą otwartością. Jest to sformułowanie, które miałyby pomóc każdemu quislingowi dla oczyszczenia jego konta i stania się Darlanem”.

De Becker — jak się z dalszych jego wyznań dowiadujemy — poszedł na współpracę z Niemcami także i ze względów ideowych: wierzył w ich Nowy Ład oraz w „europejską” politykę. „Ale tutaj rozpoczyna się rozczarowanie. Nawet quisling odkrywa, że roszczenia narodowego socjalizmu, aby uchodzić za europejską rewolucję, były prostym bluffem. Odkrywa on pod nową zasłoną stary niemiecki imperializm. Znajduje on wśród Niemców niewiele „prawdziwych” narodowych socjalistów. A nawet ci prawdziwi narodowi socjaliści nie mają zrozumienia dla swoich belgijskich współbraci... Szybko stało się rzeczą jasną, że polityka „europejska” nie była traktowana na serio. Na każdym kroku wchodziła ona w konflikt z polityką pangermańską i ustępowała przed nią. Naziści oparli swoją rzekomą unifikację Europy na ostatecznym lekceważeniu narodowych wrażliwości ludów, które zdobyli”.

Sprawy francuskie

„Economist” z dn. 23 października pisze, że po entuzjastycznie pierwszych chwil Komitet Francuski w Algierze zwraca się ku problemom konkretnym, gospodarczym i politycznym. Wśród pierwszych na miejsce naczelne wysuwa się kwestia zaopatrzenia terenów francuskich w Afryce w żywność i artykuły pierwszej potrzeby. Pogorszenie sytuacji żywnościowej wynika w pierwszym rzędzie ze złego podziału produktów. Czarna giełda kwitnie i Komitet nie zdołał jej dotąd zwalczyć. Prasa nie może pisać swobodnie prawdy o sytuacji aprowizacyjnej, nie wolno jej ujawniać nadużyć, ani nieudolności administracji.

Partie polityczne zaczynają nabierać dawnego znaczenia zarówno we Francji metropolitalnej, jak w Algierze.

Francja Walecząca przewodzi ruchowi oporu w Kraju, ale nie znaczy to, aby te ruchy miały zrezygnować z samodzielności na rzecz Komitetu, chociaż współpracę uważają za pożądaną. Socjaliści i radykałi określili jasno swoje stanowisko. Komuniści udzielili Komitetowi pełnego poparcia, zastrzegając sobie prawo krytyki. Odnosi się ono głównie do ambicji gaullizmu. Przypadkowa przeawa komunistów w Algierze wziętną nieco równowagę polityczną. Inne ugrupowania polityczne mają swe zarządy w samej Francji. Komuniści skorzystali z tego, że przywódcy ich, aresztowani przez Daladiera i deportowani do Afryki, zostali obecnie uwolnieni. Gdyby nie ten przypadek, komuniści nie zdobyliby inaczey obecnej przewagi w Afryce.

W dziwnym pojedynku między demokracją a mistyką osobistości, która idzie równoległe z walką o wyzwolenie Francji, demokracja powoli zdobywa nowe tereny.

„Republikański faszyzm”

„Tribune de Genève” z 5 grudnia przypomina, jak Mussolini, obecnie „głęboko republikański”, polczył się z monarchią i kapitalistami, którzy ofiarowali mu władzę. Gdy protektorzy opuścili go, mści się, wracając do „republikańskiego faszyzmu”. Dzisiaj Mussolini i jego pomocnicy nie mówią już nawet o niebezpieczeństwie komunistycznym i wracają do tych metod, które zwalczały w r. 1920; w nowej Karcie Pracy wracają nawet do takich metod, jak okupacja fabryk. Posuwają się nawet do rozwiązania związków pracodawców.

Ala neofaszyzm nie cieszy się powodzeniem. Nie zdołał pociągnąć za sobą lewicy umiarkowanej, ani skrajnej, która nie może wybaczyć mu wydania kraju na łup Niemców. Faktem jest jednak, że przygotowuje on teren dla głębokich zmian strukturalnych, których masy robotnicze domagały się od dawna.

Grupy oporu w północnych Włoszech stanęły na stanowisku antymonarchicznym. Odmienne niż front antyfaszystowski Sforzy, któremu patronuje Amgot, organizacje oporu w Rzymie, Genui i Turynie ogłosiły rezolucję, w której odmawiają królowi i marsz. Badoglio prawa przemawiania w imieniu narodu.

Jak donosi „Gazette de Lausanne” z dn. 9 grudnia, dwie grupy faszystowskie, Farinacciego i Favoliniego, zwalczają się wzajemnie. Farinacci panuje w Cremonie i w okrogu o promieniu około 130 km. od tego miasta, korzysta on z radia w Monachium i prowadzi gwałtowną kampanię przeciw kościołowi katolickiemu. Aresztował biskupa Cremony i wielu księży.

Pavolini, b. minister kultury ludowej, a obecny sekretarz partii, jest bardziej umiarkowany. Brak mu jednak dostatecznie silnego autorytetu w partii.

Wydawca: Ignacy Pokrywa

Redaktor: St. A. Balicki

Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

Adres Redakcji: Polish Information Centre

Jerusalem, Bezael Street, House Valerq

ww.